№ 29. Warszawa, dnia 8 (20) Lipca 1878 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

POGADANKA.

O czemże mówić, jeśli nie o kwestyi najbardziej ze wszystkich palącej, to jest o pożarach?

Techniczna nazwa „kwestyi palących" wynaleziona przez niektórych ekonomistów warszawskiego autoramentu, nigdy dotychczas nie znalazła prawdziwszego i dosłowniejszego zastosowania. Wioski, osady, miasteczka i miasta płoną jedne za drugiemi, każdy dzień niemal jest nowej klęski zwiastunem, każdy tydzień przysparza krajowi setki, jeśli nie tysiące, nędzarzy. W ciągu ostatnich lat kilku, płomień pochłonął dziesiątki milionów rubli, fortunę udzielnego księztwa. Jeśli ten stan rzeczy trwać będzie nadal w dotychczasowym stosunku, to może doczekamy tej chwili, w której miasteczko niedotknięte pożarem przez lat piętnaście lub dwadzieścia, zaliczone zostanie do osobliwości, do cudów świata i akcyonaryusze towarzystw ubezpieczeń odprawiać doń będą pielgrzymki...

Są ludzie, którzy w tem dziele zniszczenia nie chcą upatrywać samej tylko dłoni losu. Mówią oni, że niebezpieczeństwo pożaru jest daleko mniejsze w miasteczkach niż po wsiach, mających chaty klecone z drzewa i słomą kryte, które wieśniaczka zdaje w dosłownem znaczeniu na łaskę Opatrzności, gdy zostawiwszy niedogaszony ogień na kominie i przy nim czteroletniego dzieciaka, wychodzi o świcie do roboty. A jednak, mówią owi pesymiści, pożary wiejskie są w stosunku do miejskich daleko rzadsze, gdy weźmiemy na uwagę, że na jedną osadę lub miasto przypada wsi kilkanaście, jeśli nie więcej.

Lecz... dajmy pokój porównaniom i hypotezom. Plaga istnieje i dotyka kraj cały, wzywając go zarazem do nowych i niekończących się nigdy ofiar. Przodują tutaj, jak zawsze, szlachetne serca niewieście, do których nędza nigdy nie kołata napróżno. Pogorzelcy cisną się do dworów wiejskich, wiedząc że tam znajdą słowo pociechy, kęs strawy i odzież dla swych dziatek. Ale pomoc taka, przeciągająć się w nieskończoność, wyczerpie zasoby jednych, nie przynosząc trwałego pożytku drugim. Rezultatem ostatecznym zawsze będzie zubożenie ogółu.

Cóż więc czynić, zapytacie, skoro nie w naszej jest mocy zatamować źródło klęski, z tych lub owych przyczyn i pobudek biorące początek?

Prawda; zatamować źródła nie możemy, lecz od nas zależy ujęcie go w pewne karby...

Straże ochotnicze są godne najwyższej pochwały, lecz przedstawiają jedną niedogodność i jedną niesprawiedliwość. Niedogodnością jest trudność ich zawiązania, czego dowodzi mała liczba istniejących, niesprawiedliwością zaś, jest ustawiczne i bezinteresowne poświęcanie się kilkunastu lub kilkudziesięciu jednostek dla cudzego bezpieczeństwa. Piękne to, bohaterskie, ale... niesłuszne i niepraktyczne. Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich; to powinno być naszem hasłem.

Hasło to kiedyś, sześćdziesiąt lat temu i później jeszcze, było obleczone w formę prawa, i gdyby prawo to do dziś dnia nie uchylone, nie było pozostało martwą literą, to nie potrzebowalibyśmy wcale zawiązywać straży ochotniczych. Przepisy byłej rady Administracyjnej kraj cały w jedną taką straż zamieniały, wkładając na wszystkich bez wyjątku mieszkańców obowiązek brania czynnego udziału w gaszeniu ognia. Przepisy te są wzorowe i drobiazgowo opracowane: jest tam mowa o utrzymywaniu narzędzi ratunkowych, o podziale czynności przy gaszeniu, o dostarczaniu wody, beczek, koni i t. d., o obowiązkach burmistrzów, którzy za zaniedbywanie się w tym względzie będą złożeni z urzędu i sądownie karani. Gdyby choć połowa tych znamienicie obmyślanych przepisów była wykonywaną, iluż to nieszczęść uniknęlibyśmy, i.... iluż to burmistrzów znalazłoby się w bardzo przykrem położeniu!

Czyż przymusowego prawa nie może zastąpić dobra wola? Czy widok tylu nędzarzy nie powinien nas nakłonić do odgrzebania praw owych z pyłu zapomnienia i zachęcić do zorganizowania służby ogniowej, zarówno wszystkich obowiązującej, podług podanych tamże wskazówek? Przy pożarach takich jak w Wieruszowie, Działoszynie, Józefowie, Pajęcznie i t. d. nie straż ochotnicza, lecz tylko służba powszechna, należycie zorganizowana, skuteczną pomocą być może. Prawo istnieje, idźmy za prawem z własnej, nieprzymuszonej dobrej woli.

Ofiarność naszego społeczeństwa jest zaiste niewyczerpaną i objawia się nietylko w sprawie pogorzelców, ale na każdym kroku. Czy idzie o oddanie hołdu zasłudze, czy o wsparcie niedoli, czy o odrodzenie moralne dziatwy, którą nędza, zły przykład i ciemnota popchnęły na drogę występku, wszędzie sypiemy groszem ze skwapliwością dowodzącą iż jeśli nie kieszeń, to przynajmniej serce krezusowe posiadamy. Tombola, w ciągu jednego wieczora, przyniosła biednym 3,000 rubli; wystawa obrazów Matejki, trwająca dwa miesiące, dała zysku 1,400 rs. Nie chcę ztąd wnosić że hojność miewa się niekiedy w stosunku prostym do... uciechy, i oddając cześć pomysłom p. Dobieckiego, który w sprawach budżetowych Towarzystwa Dobroczynności objawia twórczość, godną nawet austryackiego ministra finansów, ośmielę się wypowiedzieć tylko jedną uwagę, a raczej myśl, która dość często moją niefinansową głowę prześladuje.

Czy wiecie, ile Warszawę kosztuje rocznie wspieranie i utrzymywanie proletaryatu? Czy wiecie, jak wielką w przybliżeniu jest cyfra, na którą się składają bale dobroczynne, odczyty, kwesty, składki na drzewo, odsetki z loteryi i widowisk i wiele innych źródeł, aż do groszaków rozdawanych przed

kościołami i na ulicach, aż do piątkowych wędrówek żebraków po sklepach? Cyfra ta, lekko rachując, wynosi sto tysięcy rubli rocznie. Tymczasem, tak wielki kapitał nie przynosi widocznego pożytku; ubóstwo wzrasta, a obok niego rozszerza się i niecny pasożyt, żebractwo uliczne. Otóż, gdybyśmy, idąc za wzorem Rygi i wielu miast zagranicznych, postarali się o założenie „towarzystwa przeciw żebractwu,“ gdybyśmy grosze i dziesiątki, rozdawane dziś bez rachuby, składali do kasy stowarzyszenia, to w lat niewiele urosłby z tych drobnych datków olbrzymi fundusz, skuteczniejszą niż dotąd przynoszący ulgę prawdziwej niedoli. Co większa, rzemiosło żebracze musiałoby upaść przy takiej organizacyi, bowiem z jednej strony zarząd stowarzyszenia czuwa nad usunięciem wyzyskiwaczy ludzkiego miłosierdzia, z drugiej, stowarzyszeni *zobowiązują się* do odmawiania datku żebrakom ulicznym i chodzącym po domach, odsyłając ich do zarządu. Powiecie może, iż taki systemat wspierania ubóstwa jest pozbawiony wszelkiej aureoli poetyczenej; prawda, ale doświadczenie wskazuje że jest najpraktyczniejszy. Mniej może wówczas tańczylibyśmy dla biednych, mniej urządzalibyśmy koncertów, widowisk i maskarad z tombolami, ale jestem przekonany że i nędzarzy mniej byłoby niż teraz.

Gdy mowa o widowiskach, trudno przemilczeć o naszej scenie. Chorowała ona przez czas dość długi na brak sił żywotnych; należy ją przeto traktować jak rekonwalescentkę i względnem patrzeć okiem na pierwsze objawy powrotu do zdrowia. Rzecz jasna, że mówiąc to, nie mam na myśli Rossi'ego; takie świetne lecz sporadycznie zjawiające się meteory, nie mają nic wspólnego z nadmienionym dopiero co stanem naszego teatru. Zwrot ku lepszemu w naszym przybytku sztuki, zależny od sfer kierujących, objawił się w operze zaangażowaniem panny Machwic i pana Zakrzewskiego, a w dramacie i komedyi zapowiedzią całego szeregu nowości, które tym razem nie zachromieją podobno na bruku dobrych chęci, wiodącym do owych progów, przed którémi trzeba zostawić wszelką nadzieję. Cieszy nas przeto widoczna rekonwalescencya teatru; jednakże, jako wyznawca prawdy, winienem dodać że do zupełnego wyzdrowienia jeszcze wiele niedostaje; kto powinien przodować, chwiejnym krokiem podąża za mniej uprzywilejowanymi, „Pan Damazy“ po całorocznej wędrówce przez różne sceny polskie, teraz dopiero ukazał się na scenie teatru letniego; od trzech lat zapowiadana tragedya Halma „Syn puszczy“ na nowo została... zapowiedzianą. Komedye zaś z konkursu lwowskiego: „Artykuł 264“ „Uproszone zaloty“ i „Szczęście Walusia“ tym samym trybem wędrują po różnych teatrach i teatrzykach, zanim Talia warszawska raczy je przyjąć w swoją opiekę, tak, jak kongres literacki w Paryżu wziął naprzykład w opiekę prawa własności autorskiej.

Każdy kongres, jako dzieło ugody, prowadzącej do pokoju najczęściej, jak twierdzi autor Momusa... z obiciem, jest wielce pożądany, jako przedsmak trwałej pomyślności; ale, jeśli politycy już dzisiaj zadają sobie pytanie, kto i w jaki sposób postara się o faktyczne wykonanie uchwał kongresu berlińskiego, tem śmielej i tem słuszniej mogą zapytać tutejsi pracownicy pióra, kto u nas podejmie się przeprowadzenia uchwał kongresu literackiego. W dzisiejszych naszych stosunkach musimy, chcąc nie chcąc, bardzo wiele zapożyczać z piśmiennictw obcych; wynagrodzenie zaś za prace tego rodzaju jest tak skromne, że jeśli tłomacz, stosując się do uchwał kongresu, zechce autorowi płacić za prawo przekładu, to sam będzie chyba zniewolony brać pióra i papier na kredyt. Teorya, sama w sobie słuszna, nie wszędzie może być stosowana z jednakową bezwzględnością, dlatego rad jestem bardzo, że uchwały kongresu nie mają u nas siły egzekucyjnej; w takim bowiem razie wielce ucierpiałby nasz ruch wydawniczy.

Tę siłę jednak egzekucyjną której nie ma kongres literacki, posiada natomiast rozporządzenie, wydane przez magistrat Pragi Czeskiej. Dotyczy ono mody, zkąd wynika, że w „Tygodniku Mód“ przemilczeć o niem nie można.

Rozporządzenie to dotyczy owego przydatku u sukien damskich, zwanego z francuzka po polsku „trenem,“ i nie mającego żadnej styczności z trenami Kochanowskiego. Municypalność Pragi Czeskiej, troskliwa o zdrowie współobywateli, orzekła, że gdy owe treny, wznoszą na ulicach tumany pyłu, szkodliwego dla płuc, dama przeto każda, zjawiająca się na ulicy w sukni z trenem, będzie skazywana na karę pieniężną.

Nie chcę przesądzać skuteczności tego wyroku; przypominam sobie tylko, że dawnemi czasy we Francyi (podobno w XIV wieku), rozkaz królewski zabronił noszenia sukien jedwabnych i księża z kazalnicy ogłaszali nazwiska niewiast, karanych za opór przeciw temu rozporządzeniu. Ostateczny rezultat był taki, że wszystkie bez wyjątku kobiety, stare i młode, piękne i brzydkie, bogate i ubogie, zaczęły stroić się w jedwabie.

Bardziej do celu wiodącym wydaje mi się projekt Vischera, słynnego estetyka niemieckiego (autora „trzeciej części Fausta“) który proponuje, aby damy zawiązały między sobą stowarzyszenie „mody racyonalnej,“ któraby uwzględniała wymagania elegancyi i piękna; odrzucając kapryśne wybryki krawców i modniarek. Może istotnie byłby wtedy wilk syty i... moda także. Wprawdzie przy deszczach prawie ciągłych jakie na Warszawę spływają dziennie po razy kilka a nawet kilkanaście, pył nie tak nam dokucza, ale niechno się karta odwróci i zajaśnieje pogoda... ogród Saski zatonie w tumanach kurzu a pobyt w nim stanie się niepodobnym. Za to ożywi się Szwajcarska Dolina rozbrzmiewająca dźwiękami wybornej orkiestry Bilzego dziś często pusta, cicha i milcząca i odnowią się wycieczki zamiejskie prawie obecnie zaniedbane.

GOŚCINNOŚĆ

GAWĘDA

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

— Zkąd aść wracasz?
— Z kościoła.
— Zazdroszczę ferworu,
Tym kształtem wszystkie grzechy człek odkupić gotów;
Wszakże to noc mosanie, a cienie wieczoru
Skryły w śnie pasmo ludzkich trudów i kłopotów.
Tylko dziwię się mocno, iż dziad zwykle głuchy,
Którego słabe oczy nie dowidzą wiele,
Kiedyś się tak zamodlił wśród zbawiennej skruchy,
Nie zamknął przy pacierzach asana w kościele.
— A toby ze mną całe weselników grono
Zwarto społem.
— Cóż znowu?
— Kiedy noc zapadła
Ślub wzięto ot i finis.
— Trefujesz aść pono;
Azaliż dzisiaj nocą kojarzą się stadła?
Azaliż młoda para dufna w Boże łaski,
Miasto w chwilę tak wzniosłą szukać dnia promieni
Oblana niby złotem słonecznemi blaski,
Pragnie w ślad nietoperzów ukryć się wśród cieni?
— O miły panie Marku, toć to liczę za nic,
Świat cały dziś jest modną zwładnięty chorobą,
A człek widząc jak z prawych wyszła ludzkość granic,
Dalipan nie wie zasię, co ma począć z sobą.
Słuchaj waść: przyniósł fagas kartę drukowaną
Z różnemi floresami a dużą jak placek,
Coś na niej po francuzku było wypisano,
Pojąłem tylko tyle: *maryjaż*, *munsie Jacek.*
To znaczy że się żenią i proszą na galę.
W to mi graj mosterdzieju, vinnm laetificat...
Więc w odświąteczną odzież przybrany wspaniale,
Znalazłem się jak czasów ubiegłych unikat
Wśród wyfraczonej młodzi. Spisano protokół,
Tak zwany intercyzą za rejenta stołem,
Panna młoda wzrok śmiały rzuciła na okół,
I zasię do kościoła pojechano społem.
Po ślubie jakby wymiótł. Czmychnął orszak cały,
Nowożeńcy, drużbowie, goście, młodzież złota,
Wszystko pędem do karet. Stoję oniemiały
A dziadek świeczki gasi i zapiera wrota...
— Impetu w rzeczach świętych nikt zasię nie chwali,
Dziwnym mi się być zdaje ów ślub nowomodny;
Lecz powiedz panie Jacku, co się stało dalej?
— Nic, wróciłem ze ślubu spragniony i głodny.
— Więc nie było wesela?
— O to nikt nie pyta!
Gościnność dawnych czasów mało znana komu:
Gospodarz swoim gościom łbem kiwnął i kwita,
A każdy jak nie pyszny powrócił do domu.
Mówią na nas, na starych — ot hulały dziady,
Bo było za co hulać, dziś świat zmienił postać,
Chuda fara, więc trzeba z Niemców brać przykłady,
I dzierżąc kredkę w ręku ciężkiej doli sprostać.
Słusznie, porzućcie zbytek, nic nie rzekę na to,
Owszem, czoła uchylę przed rozsądkiem młodzi,
Ale gdy przyszłość wasza w zasób nie bogatą,
Niechaj każdy czyn statku, rozumu dowodzi;
Sprowadzać konie z Anglii dla pańskiej zabawy,
I łamać na nich karki; zwiedzać Paryż, Włochy,
A potem skąpić gościom lichej łyżki strawy
Wydając córkę za mąż, toć to szał jest płochy.
Ongi były posłaniem na sianie dywany,
Jadłem zraz, miód napitkiem, strojem skromne szaty,
Lecz serca się nie zwarły ani komnat ściany
Kiedy gość zakołatał do szlachcica chaty;
Ongi człek rósł w zamożność nie krzywdząc nikogo,
Czcząc statek znał jak chlubną jest pradziadów cnota,
Dziś ludzkość przemądrzała inną kroczy drogą;
Wszystko sobie, nic bliźnim — oto cel żywota!

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Zdarzenie to tak niespodziewane zakończyło prowadzoną walkę. Chłopcy ujrzawszy jak Stanisław powalany bez kapelusza dźwignął się z ziemi, zadowolnili się odniesionem zwycięztwem, a skarceni przez napływających nowych przychodniów, zaprze-

stali zaczepek bo jak powiedzieli, tyłów już nie byli pewni. Stanisław idąc ciągle się dąsał i przeklinał, łając przyjaciół, że stali jak malowane Kaśki, nie idąc mu z pomocą.

— Maciuś to filantrop mówił dalej, już dziś skarbi sobie łaski publiki tutejszej, gdy urządzi przed nią występy z gitarą w ręku i o jednym kamaszku na nodze. Jan obcy, ale ty Mieczysławie mogłeś wyruszyć na swoich komarzych nogach a bylibyśmy z pewnością jednego z tych nicponiów złapali.

Mieczysław tylko przełknął i poruszył szyją, Maciuś roześmiał sie i zaczął nucić piosnkę o ułanie. Dalszy pochod już się odbył bez żadnego wypadku: znaczna część powracających udała się ku brzegowi Wisły, reszta skręciła w bok przez błonie ku mostowi łączącemn Kępę z Pragą. Wijąc się długiemi szeregami, obchodząc kałużę, brnąc przez wodę, przenosząc kobiety przez miejsca niepodobne do przebycia, rzesza cała była niezmiernie wesołą i ruchliwą. Czasem ozwał się krzyk trwogi, gdy przewodnik zachwiał się, albo wrzask najwyższego przestrachu, jeżeli dźwigający kobietę potknął się i przewrócił. Podobne wypadki choć nie często ale się zdarzały, i gdy z jednej strony słychać było lament, klątwy i wyrzuty, z drugiej strony śmiech głośny zagłuszał wszystko chórem przez drugich wspierany.

Późno w nocy, po kolącyi i ponczu Jan znalazł się w swoim numerze hotelewym znużony niezwykle. Wprawdzie nadużycia nie popełniono, gdyż Stanisław nie był hulaką ale Jan i do tego nie był przyzwyczajony. Czuł szum w głowie, niesmak w ustach a zamęt w myślach. Warszawa przedstawiła mu się jak coś nadzwyczajnego, o czem nie miał najmniejszego nawet pojęcia. Stanisław wydał mu się dzielnym chłopakiem, troszkę brutalnym ale wymownym i bardzo wesołym. Mieczysław wielce wykształconym, Maciuś z poczciwem sercem, Łepak jak szermierz wielkich idei a Bolesław jako dziwak trudny do zrozumienia. Wspomnienia z przebytych wrażeń, troszkę go drażniły, niepokoiły, nie mogąc jednak o nich wyrobić w sobie należytego zdania, błąkał się w przypuszczeniach i to czego pojąć nie mógł kładł na karb swej nieświadomości nie dającej mu dokładnie zrozumieć, co to są za mrzonki starych niedołęgów i przesądy osłów bez bicza i przewodnika nieumiejących i kroku postąpić.

Urywek ten z rozmowy z Łepakiem szczególniej zapamiętał: w domu był uważany za zero, mówiono mu ciągle o potrzebie nauki, o mozole pracy do jej zdobycia, przedstawiano mu niezmierne jej obszary, gdzie się zwrócił spotykał same tylko upokorzenia, nawet lekceważenia, tu odrazu namaszczony został na bojownika służącego prawdzie z wszelkiem ułatwieniem zdobycia tak ponętnego stanowiska.

Czyżby więc to co dotąd słyszał, w czem wzrósł i wychował się miało być fałszem i majaczeniem bez żadnej gruntownej podstawy?

— Być może, myślał sobie, świat na nowo ma się odrodzić, więc zamarł albo omdlał i wszystko co jest jego własnością skazane na wieczne milczenie. Wyrastające nowe idee mają sprowadzić odrodzenie, trzeba więc je poznać, wcielić się w nie a zdobędę prawdę której mam służyć, poznam drogę jakiej się trzymać należy aby godnie odpowiedzieć swemu przeznaczeniu.

Jan nie miał nauki, ale nie był bez zdolności, samo tak gorące łaknienie wiedzy sprowadzające go aż do Warszawy, pochlebnie świadczyło o moralnem jego usposobieniu. Wychowanie zbyt pieszczotliwe, ułatwiające mu wszystko, począwszy od nalania szklanki wody aż do zastanawiania się i myślenia o tem czego nie rozumiał, zdolnościom tym umysłowym nie nadało potrzebnej dzielności, nie wprowadziło ich w ruch i nie spotęgowało tak jak należało. Stał się też więcej biernym jak czynnym, podobnym do gąbki łatwo nasiąkającej każdą cieczą przy której zostanie położoną.

Błąkając się w myślach i przypuszczeniach, zapragnął przedewszystkiem zapoznać się z tym światem nowych idei służących bezwzględnej prawdzie. Przy pomocy Stanisława i Mieczysława, zarzucony samemi rozprawami wielkich myślicieli europejskich zwanych pozytywistami, i rozprawy domorosłych mędrców przezwanych pozytywistami warszawskiemi, dla odróżnienia ich od tych z którymi łączą się tylko nazwą a nie nauką, zatonął prawie cały w czytaniu, ale pomimo wielkiej baczności i pilnego rozważania, nie mogąc wszystkiego należycie zrozumieć, postanowił zbliżyć się do Mieczysława, aby przy jego pomocy rozjaśnić to co mu się ciemnem wydaje.

Mieczysławowi to uznanie wyższości niezmiernie pochlebiło, zakładając też nogę na nogę i zagłębiając się w ulubionym sobie fotelu, rzekł:

— Nie dziwię się mój Jasiu, że w tem czytaniu bez ładu i składu jesteś jak wśród lasu. Ale ja ci to wszystko wyłożę w krótkości, a znając główne zasady będziesz mógł już z całą swobodą oddać się czytaniu i zrozumieniu tego co czytasz. Pozytywizm podniesiony z zapomnienia przez młode pokolenie, zajmuje się jedynie wydobywaniem prawdy i tylko to stawia na świeczniku prawdziwej nauki co dowieść potrafi jak dwa a dwa że jest cztery. Wszystko zaś co mu się wymyka z pod tej matematycznej formuły, czego nie może się ani dotknąć, ani zobaczyć ani poczuć smakiem lub dotykaniem, to odrzuca stanowczo i nie zajmuje się niem. Wszak prawda że to jasne i godne najwyższego uznania?

— Najzupełniej.

— Idealiści, mówił dalej Mieczysław, pozytywizm nazywają tylko metodą posługującą do dochodzenia prawdy, nie chcąc mu przyznać idei filozoficznej, jako nie zajmującego się światem, podług ich zdania, po za obrębem zmysłów będącego. Ale to fałsz wierutny, my też młodzi uznaliśmy pozytywizm za metodę filozoficzną, jedynie godną tej nazwy. Wszystkie tak nazwane szkoły filozoficzne odrzuciliśmy, bo te bujające w abstrakcyach objaśniają niby wszystko a nic nie tłomaczą, dają teorye tego czego sam byt ulega zaprzeczeniu, spierają się wreszcie o to czego sami nie rozumieją. Pozytywizm strzeże się tego wszystkiego, co wybadał w to wierzy, czego nie może wziąść pod analizę rozumu, to odrzuca, nie zaprzecza stanowczo, ale powiada: nie wiem, dajcie mi wszystko co chcecie pod mój skalpel rozpoznawczy, a powiem wam co to jest i czem jest właściwie. Cóż, rozumiesz Jasiu tę rozumną zasadę pozytywizmu?

— No, rozumiem, tylko ci co ich nazwałeś idealistami... co to są za jedni?

Mieczysław uśmiechnął się nieznacznie z tak grubej nieświadomości.

— Idealiści, rzekł po chwili owijając się w poły szlafroka, są to ludzie, którym się zdaje że wszystko, co tylko jest tajemnicą dla człowieka, co tylko tyczy się jego natury, jego początku, rozwoju i końca, jego wreszcie przyszłego losu po za ziemskiem życiem, przyczyny głównej z której powstało wszystko co nas otacza, otóż idealistom zdaje się że to wszystko docieki i zrozumieli nie zastanowiwszy się, że same zasady główne na których oparli swoje rozumowania, są niczem więcej tylko hypotezami, przypuszczeniami niczem jeszcze nie udowodnionemi! Czyż to nie jest dowodem najwyższego niedołęztwa, majaczenia sennego, szermierki słów przelewanych z pustego w próżne? Wszak prawda?

— Zapewne, zapewne, odrzekł Jan z powagą filozofa głęboko w przedmiocie zanurzonego. Tylko... te zasady główne niczem nie udowodnione, jakież one są?

— Toć przecie każdemu wiadome...

— Tak, ja wiem o tem, przerwał Jan rumieniąc się, tylko widzisz panie Mieczysławie... to jest... przy rozwadze głębszej... bąkał dalej starając się o wysłowienia jak najwięcej naukowe z któremi jakoś żadnym sposobem nie mógł przyjść do ładu. Mieczysław zrozumiał ten kłopot młodego swego ucznia i litując się nad jego ciemnotą a pragnąc godnie odpowiedzieć położonemu w sobie zaufaniu, odrzekł z niedbałością nauczyciela zmuszonego sto razy jedno powtarzać:

— Zasady o których wspomniałem, są to pewniki przez idealistów przyjęte, że Bóg wszystko stworzył, wszystkiem rządzi, że wlał w człowieka duszę nieśmiertelną wiecznie żyć mającą i że tym sposobem człowiek jest podwójnej natury, materyalnej i duchowej...

— To ja wiem dobrze, bo tego wszystkiego uczyłem się od małego dziecka, przerwał Jan ucieszony zgodnością swojej wiedzy z idealistami, a więc zawsze z uczonymi choć ich Mieczysław stanowczo wyszydzał. Nauczyciel spojrzał na niego, miał ochotę parsknąć głośnym śmiechem, ale się powstrzymał i tylko szepnął w myśli: a to ciasna dopiero głowa, zakuta gwoździami. Po chwili milczenia, spostrzegłszy że Jan zdaje się oczekiwać na dalsze dowodzenia, odezwał się:

— Tak, uczyłeś się mój Jasiu tego wszystkiego od małego dziecka i mnie także uczono, ale mimo tego owej duszy i wszystkiego co ma z nią związek nigdy w życiu nie widziałem. A ty widziałeś?

— Nie widziałem ani razu, ale dziadek mój powiedział, że widział ducha swego brata w chwili jego śmierci pod Berczyną...

— Głupstwo wierutne! szarpnął się Mieczysław, jakże możesz podobne bajdy przytaczać w dowodzeniach czysto naukowych? To zapewne wierzysz i w strachy i w dusze pokutujące, w różne przeszkody i w opętania szatańskie.

Jan nic nie odpowiedział: po części bowiem był przekonany o prawdziwości tych dziwów dla niego niepojętych, choć często i słyszał dowodzenia wprost temu przeciwne. Tu pierwszy raz miał je wyszydzone w poważnej rozprawie naukowej, zawstydzony więc bąknął tylko słów kilka, zaprzeczających wiary w to o co był posądzony.

— Powiedziałem tylko to co nieraz słyszałem, dodał w końcu, a strachy wszelkie to wiem że duby smalone...

— Tak, duby wymyślone przez niedołęgów nie umiejących i kroku postąpić o własnej sile którą daje nauka. Pozytywizm widzi tylko ciało człowieka, jego wewnętrzną budowę, cały organizm działający w nim, nerwy, ścięgna, zna pierwiastki które zużywa człowiek przy myśleniu, rozważaniu ale komórki w którejby dusza w nim siedziała i nadawała ruch temu wszystkiemu, jeszcze nigdzie nie dopatrzył a tymbardziej jej właściciela. Zresztą wszystko to nic go nie obchodzi. Stary jednak świat na tem niedowiedzionem niczem przypuszczeniu, oparł cały swój porządek, prawa, moralność i do pewnego stopnia dobrze mu z tem było ale wszystko ma swój koniec. Postęp nauki niczem nie wstrzymany, ma swoje prawa i domagania się. Pod jej wpływem idee rządzące światem, pokazały się mrzonkami, domysłami, przypuszczeniami, i dziś dopiero zrozumiano, że pod wpływem siły materyą utrzymującej w ciągłym ruchu, w odwiecznych przemianach, postępując od wymoczka, ryby, ptaka i zwierza, wydobył się wreszcie człowiek z organizmem znacznie od nich subtelniejszym, dozwalają-

cym mu nietylko poważnie myśleć ale i badać świat go otaczający.

— Jakto? zapytał Jan, powiadasz że wydobył się z tego człowiek, kiedy Adam i Ewa byli stworzeni...

— A czy byłeś przy tem kiedy to się stało? zapytał Mieczysław podnosząc ramion z politowaniem. Czy kto patrzał na to własnemi oczami?

Jana pytania te bardzo zastanowiły i uderzyły swoją stanowczością.

— Nikt naturalnie tego nie widział, mówił dalej Mieczysław, pozytywizm też podobnemi banalukami nie zajmując się, wybadawszy powstanie człowieka, zbadawszy jego naturę, styczność z otaczającym go światem materyi i solidarność jaka go z nim łączy, cały porządek społeczny postanowił zmienić, przepisać prawa, ustanowić moralność, aby te nie opierały się na wiotkim gruncie, ruchomym jak piasek, wyrosłym z bezzasadnych przypuszczeń, ale na istocie rzeczy i w zgodzie z nią najzupełniejszej. Wszystko też z gruntu musi być przerobione, stare zburzone, w gruz rozwalone, aby na tem śmiecisku wiekami nagromadzonem powstał świat nowy, realny, odrywający człowieka od mrzonek w których nurzając się blizkim był zatonięcia. Spełnimy to my, wyznawcy pozytywizmu; w szeregach naszych każdy stanąć może nb. otrząśnięty ze wszelkich starych naleciałości, utrzymujących ludzkość jakby pod kupą barłogu, która ją dusi, dławi i oddech coraz robi trudniejszym. Jeżeli zatem pragniesz przyłożyć rękę do tego dzieła odrodzenia, wszystko coś przyniósł z sobą z domowego wychowania, czem cię napawały matki, babki, ciotki, zostaw jak kalosze przy wejściu do salonu, a sam czytaj tylko badania tyczące pozytywizmu, przy pomocy którego jedynie zapoznasz się z prawdą i uznasz sam, że co tylko nie ma z niem związku jest wierutnem głupstwem i majaczeniem ślepych o kolorach których nie znają.

— Same więc tylko badania pozytywizmu mam studyować, a...

— Same i nic więcej, potwierdził, reszta cała nie warta czasu i atłasu.

— Stryj jednak mówił mi...

— Wiem co ci mówił, przerwał Mieczysław z pewną zajadłością, abyś uczył się Bóg wie nie czego. Ale to tylko obałamucenie głowy, strata czasu nad poznaniem tego, co pozytywizm stanowczo wyszydził Co ci po tem?

Uwaga ta spodobała się Janowi: ciężar wielki spadł mu z serca przytłoczonego obawą czy potrafi pilnością w nauce wynagrodzić stratę lat na niczem spędzonych. Jest zatem inny sposób stania się wykształconym człowiekiem, łżejszy, mniej mozolny jak mu wszyscy dowodzili, a podaje go pozytywizm, jakże więc sam musi być wielkim i rozumnym. Rozważając to, Jan aż zatarł ręce i ściskając rękę Mieczysława prosił go aby był jego doradzcą i pomocnikiem.

— Z największą przyjemnością, odrzekł Mieczysław, będziemy o tem często z sobą rozprawiali, a teraz zajmij się czytaniem i przy każdej wątpliwości udaj się do mnie a dam ci zawsze odpowiednie objaśnienie.

Jan spełnił radę, czytał rozprawy na samym pozytywizmie oparte, badał wnioski ztąd wyprowadzone, z Mieczysławem prowadził długie i częste rozmowy, i wreszcie dowiedział się, że siła i materya jedynemi są twórcami wszystkich zjawisk życiowych, że naturalne popędy w każdym człowieku są prawami, którym dotąd różne przepisy moralności gwałt zadawały, i że człowiek głównie troszczyć się winien o dobrobyt na ziemi, dążyć do zdobycia i wziąść rozbrat ze wszystkiem co mu w tem stanowić może przeszkodę.

— Spojrz po świecie, mówił mu, cóż w nim postrzeżesz? Oto małe nasionko złożone w łonie ziemi pod wpływem chemicznego procesu zaczyna kiełkować. Cóż je pobudza do tego? Nic innego tylko siła i materya, których jakkolwiek natury nie zbadano, ale widząc objawy ich działania musiano je przyjąć za główne przyczyny wszystkiego. Kiełek nasionka wydobywa się na wierzch, zapuszcza korzonki i w miarę wzrastania stara się o jak największe zdobywanie dla siebie pokarmu i miejsca, walczy więc ze swemi sąsiadami, wypycha ich, przygniata, morzy i wyrastając coraz silniej okrywa się wreszcie łodygami, liściem, kwiatem i wydaje owoc spełniając tem swoje przeznaczenie. Otóż i walka o byt, prawo natury któremu ulega wszystko, zarówno roślina, zwierz jak człowiek nie będący niczem więcej tylko wytworem wyższej organizacyi z działania tejże samej siły i materyi powstałym. Wprawdzie objawom życia ludzkiego idealiści chcą nadać inne znaczenie, i dopatrują w niem jakiegoś pierwiastku duchowego, ale pozytywizm zbił to i wytłomaczył działaniem jedynie siły i materyi. Mózg to narzędzie myślenia, rozkazy woli to prądy elektryczne, czucie to nerwy, wszystkie uczucia to podrażnienia zmysłowe, poetyczne porywy to chorobliwy ustrój mózgowy, bohaterstwo poświęcenia to szaleństwo, miłość to popęd natury do utrzymania życia, zagłębianie się w abstrakcyach z ziemią nie mających związku, to senne marzenia w których najśmieszniejsze dziwy zdają się być rzeczywistością. A jednak na tych marzeniach oparto cały porządek społeczny, kazano pogardzić ziemią i torturować naturalne popędy wskazane przez naturę a praktykowane w życiu na ziemi od którego człowiek oderwać się nie może.

Jan słuchając tych dowodzeń popieranych zwykle dosadnemi uwagami Mieczysława, starającego się jednak nadać im naukową powagę i kolącemi dowcipkami Stanisława dbającego zawsze więcej o rozśmieszenie jak o wyrozumowanie, otóż Jan słuchając prawie codziennie podobnych rozpraw z gruntu rujnujących wszystko co uznawał dotąd za niewzruszone, zrozumiał wreszcie co to jest pleśń przesądów okrywająca świat stary i nowe idee mające go na nogi postawić. Nie miał wprawdzie o tem jeszcze jasnego pojęcia, ale czuł że do głowy przybył mu zastęp nowych myśli nieznanych mu przedtem, że może się nad niemi naukowo zastanawiać, brać je za treść rozmowy i że przestaje być prostakiem nieświadomym choć się nie poddał mozołowi nauki przez stryja zaleconej.

— Co mi po niej, myślał sobie, kiedy to wszystko i torby sieczki nie warte! Pozytywizm zbił to wszystko a jest tak prosty i przystępny, że ledwom się go dotknął, a dowiedziałem się o tylu ciekawych rzeczach o jakich w zaścianku moim przez całe życie nie słyszałem.

Przy pomocy Stanisława urządziwszy nowe mieszkanie i zająwszy je wspólnie z Mieczysławem i Maciusiem, postanowił przedewszystkiem zabrać stosunki z młodzieżą i potem urządzić dwutygodniowe zebrania dla wspólnej pogawędki. Już ich teraz nie lękał się, czuł że i on potrafi coś powiedzieć, mieć swoje zdanie, pokazać stryjowi że nie darmo siedzi w Warszawie i że w krótkim czasie zmieni się do niepoznania.

Jednego więc dnia wybrali się ze Stanisławem na odwiedziny jego znajomych.

— Najprzód wpadniemy na chwilkę do Bolesława....

— Kiedy to człowiek bardzo zacofany, przerwał Jan. Mieczysław mówił....

— Mieczysław, przerwał z niechęcią Stanisław zazdrośny cokolwiek o pierwszeństwo nadane mu przez krewniaka nie jest znów taką powagą aby apelacya nie była potrzebną. Dowodzenia jego czasami bywają chrome, nieraz pragnąłem je wytknąć ale jest zbyt drażliwym, dałem więc pokój zaczepce. Do Bolesława wpadniemy na chwilkę, jest on dziwakiem ale nauki odmówić mu nie można, a z Łepakiem jak się zejdą to wyglądają jak dwa koguty co sobie gwałtem oczy chcą wydrapać. Harce podobne bardzo lubię, jak Hiszpanie walkę byków, dlaczegóż więc pozbawiać się przyjemności nic nie kosztującej? Potem pójdziemy do Łepaka a w końcu do Głowacza i Filozofa. Są to główne postacie, jak skazodrogi w kierunku których cała nasza inteligentna młodzież postępuje.

Kiedy dochodzili do mieszkania Bolesława, zobaczyli karetę stojącą przy rogu ulicy.

— Patrz Jasiu, odezwał się Stanisław, kareta ta sama do której wsiadł Bolesław gdyśmy szli ulicą po twojem na drugi dzień przybyciu do Warszawy.

— Być może, nie przypatrzyłem się jej należycie.

— Ta sama liberya, te same konie, co ona tu może robić?

Kiedy byli już o kilka kroków od sieni kamienicy w której mieszkał Bolesław, wyszła z niej jakaś dama starannie woalką zasłonięta, i szybko podążyła wprost ku karecie. Za nią szedł lokaj w tej samej co furman liberyi, otworzył drzwiczki powozu, pomógł damie do wejścia i potem wskoczył na kozioł. Powóz ruszył z miejsca.

— Panowie przysiągłbym, zawołał Stanisław, że ta wielka karetowa pani, wizytowała Bolesława. Pójdźmy, powitamy go na uczynku i przecieć coś z niego wyciśniemy.

(*d. c. n.*)

PRZESILENIE.

KOMEDYA W CZTERECH AKTACH

przez Oktawa **Feuillet'a.**

przełożona z francuzkiego

przez Franciszkę Majewską.

(Dalszy ciąg).

SCENA IV.

Dessoles, De Marsan.

De Marsan (zmieniając ton skoro Antoni wyszedł. Dotyka się ramienia Dessolesa). A więc?

Dessoles. A więc co?

De Marsan (tajemniczo). Jakże ci tam idzie?

Dessoles (naturalnie). No tak, dobrze się mam... bardzo ci dziękuję.

De Marsan. Ja nie pytam o twe zdrowie, lecz o naszą sprawę. Masz albowiem od wczoraj jakąś ponurą minę i to mnie zaniepokoiło...

Dessoles (wstając). Iż mam ponurą minę... nic w tem dziwnego... lecz ty mnie więcej zadziwiasz tą twoją wesołością. W twojem położeniu... co ci więc jest!... co się stało?

De Marsan. Mój kochany... odurzam się, chcę przynajmniej zachować pozory... gdyż w głębi duszy znoszę tortury!... Lecz chcę się przekonać co

ty o tem wszystkiem myślisz? Co się dzieje, co ty zamierzasz?... dokąd nas to wszystko doprowadzi — czego mam oczekiwać? Mamże się lękać — tej strasznej, szalonej próby...

Dessoles. Ja nic a nic nie wiem, dotąd nic stanowczego. Zalotność! to są niby strzały poprzedzające bitwę!... To idą na przód, to cofają się. Często znów mi się zdaje iż odkryto naszą tajemnicę, i śmieją się z nas na dobre w duszy. Już to wydaje mi się, że mogę sobie pochlebiać... to jest lękać się o ciebie... w końcu zaś nic nie wiem!... Słowem jest to serce niezbadane!

De Marsan (zniżając głos). Przed chwilą — gdybym chciał — mogłem wszystko wyczytać w tem niezbadanem sercu.

Dessoles. Jakto!...

De Marsan. Byłem w swoim pokoju... i potrzebowałem koperty do listu, laku, pieczątki... naraz przypominam sobie, iż to wszystko znajduje się w biórku Julii... poszedłem więc do jej pokoju.... a niezastawszy jej... naturalnie otwieram biórko w którem klucz znajdował się. Pierwszą rzecz która uderzyła mój wzrok, zgadnij co było?

Dessoles. Nie wiem, cóż takiego?

De Marsan. Dziennik Julii... pisany jej własną ręką.

Dessoles. Nie może być!..,

De Marsan. Ależ dziennik mówię ci!... a w tym dzienniku... najpierw spostrzegłem moje i twoje imię...

Dessoles. Tak!... i cóż więcej?...

De Marsan. Naturalnie... Zrozumiesz to łatwo.... iż skrupuł... delikatność nie dozwoliła mi dotknąć się go. Tem bardziej iż ktoś nadchodził... Czemprędzej zatem zamknąłem biórko.

Dessoles (patrząc mu w oczy). Nie prawda.

De Marsan. Ależ z pewnością...

Dessoles (niedowierzając). Tyś wziął ten dziennik?...

De Marsan. Ależ za kogo mnie bierzesz! Z pewnością tego uczynić nie mogłem...

Dessoles. Jeżeli tak?...

De Marsan. Jakto więc ty byłbyś mi radził?...

Dessoles (po pewnem wahaniu). Na honor że tak!... Wszak mąż ma swe przywileje, wreszcie jesteś w prawie koniecznej obrony!... Także i ja nie gniewałbym się zupełnie na to... gdybym stanowczo wiedział czy mam tutaj pozostać czy odjechać... gdyż dwadzieścia razy na dzień — bierze mnie ochota... przyznam ci się szczerze, wycofać się z położenia, które co chwila stać się może śmiesznem lub niegodziwem. Popełniłeś więc ogromne głupstwo zostawiając ten dziennik!

De Marsan. Sądziłem iż sumienność nie dozwala mi tego...

Dessoles. Dobry jesteś z tą swoją sumiennością. Jedyna się przedstawiała sposobność... do wyjaśnienia, w którem idzie o twe szczęście i życie, a ty wtedy bawisz się w jakieś dziecinne skrupuły... W zwykłym czasie to dobre, lecz w czasie wojny można łamać pieczęcie. Co ty chcesz u licha! Jeżeli sam sobie nie będziesz pomagał, to lepiej nie mówmy już o tem, a ja nareszcie raz już muszę odjechać!...

De Marsan (wyjmując zeszyt z za ubrania). Oto jest!

Dessoles. To tak! de Marsan!... to wcale nieładnie mówiąc otwarcie! (śmieje się). Nie! ty wcale niedobrze postępujesz!...

De Marsan (poważnie). Naprawdę ci powiem, iż mogłem się obejść bez przedstawienia ci tego dokumentu, lecz nie wiem czy mam w tem słuszność lub nie. Chcę albowiem aż do końca dzielić się z tobą moją nieograniczoną ufnością... w ten sposób chcę zjednać twoją prawość... gdyż ciągle zdaje mi się, iż mam do czynienia z prawym przyjacielem, nie prawdaż?...

Dessoles. O z pewnością, jestem prawym i to mi właśnie stoi kością w gardle!... Lecz zobaczmy jak najprędzej, co się tam znajduje, gdyż twa żona lada chwila może nadejść...

De Marsan. Nie ma najmniejszej obawy... Jest aż w głębi parku... Ah!... oto zobaczmy (czyta) „20 maja...“ to przed ośmią dniami...

Dessoles. Nazajutrz po naszym przybyciu.

De Marsan. Hm! (czyta) „Przyjaciółka z lat dziecinnych wyznała przede mną, przed dwoma laty, iż spisywała każdodziennie, wrażenia z dnia ubiegłego. Raz więc się jej spytałam, czybyś już droga Ludwiko nie kochała swego męża? Hm! odpowiedziała, może on mnie już nie kocha. Przekonana więc byłam wtedy, iż tylko te dwie okoliczności mogą zmusić kobietę do wzięcia pióra do ręki i bazgrania o północy. Lecz się wtedy omyliłam. Są albowiem myśli które ani komukolwiek powierzyć ani dla siebie zachować nie można, i wtedy to przelewa się je na papier ażeby z niemi cośkolwiek uczynić.“ Oh! jeszcze dotąd nic nie ma co się nas dotyczy...

Dessoles. I owszem, to dobre... choć się nas zupełnie nie dotyczy... są to albowiem przedwstępne tylko rozmyślania...

De Marsan. Tak w rodzaju przedmowy. Lecz idźmy dalej. (czyta) „Jakby to nazwać to zniechęcenie moralne to niezadowolenie z siebie i z drugich, którego doświadczam od kilku miesięcy.“ Ot nakoniec czytajmy. „Mój mąż (zatrzymuje się.) Hm!

Dessoles. (ironicznie.) Może chcesz usiąść...

De Marsan (czyta). Mój mąż... niezawodnie jest najlepszy z ludzi; (rozpromienia się) ma wielki rozsądek...“ Ah! bardzo to dobre... lecz jakoś nie uchodzi takie rzeczy o sobie czytać samemu.

Dessoles. A więc daj (bierze zeszyt). Hm!... hm!... „ma wielki rozum!...“

De Marsan Ależ ona za dobra!

Dessoles. Zarozumialec!

De Marsan. To ci się niepodoba?...

Dessoles (czyta). „Kocham go zarówno jak niegdyś!“

De Marsan. Kochana Julia... (biorąc go za rękę). Drogi przyjacielu.

Dessoles (czyta). Tak jak niegdyś... lecz!...

De Marsan. Czy jest... lecz!...

Dessoles. Jest nawet kilka. „Lecz nie wiem dla czego wszystko co on zrobi lub powie nie podoba mi się...“ Odwagi mój przyjacielu. „Czyż np. nie znienawidziłam breloków od jego zegarka? Wszak żyłam w zgodzie z temi brelokami przez lat dziesięć, teraz nagle poróżniliśmy się,... albowiem mój mąż ma zwyczaj, bawić się niemi gdy rozmawia, co wydaje pewien niemiły dźwięk...“ (śmiejąc się). Jakto mój prezesie i to ty masz taki szkaradny zwyczaj?

De Marsan (bawiąc się brelokami z roztargnieniem). Ależ bynajmniej, bynajmniej... nie wiem zupełnie zkąd to ona wzięła!...

Dessoles (czyta). Ten dźwięk, wszędzie mnie ściga... W tej chwili np. kiedy to piszę, zdaje mi się iż słyszę mego męża nakręcającego zegarek w swym pokoju, i brzęczące breloki!...

De Marsan (ponuro). I to wszystko?...

Dessoles. Nie bynajmniej (czyta). „I takich ma tysiące najrozmaitszych nawyknień, bardzo niewinnych, lecz które sprawiają mi przykrość jak gdyby były wielkiemi wadami. Widzę to dobrze iż ta naiwność w zachowaniu się mego męża...“ Ach to twardy orzech „że ta naiwność w zachowaniu się mego męża świadczy, iż mój mąż czuje się szczęśliwym i że wyrzekł się wszelkich pretensyi; lecz to jest właśnie błędem zwycięzców, uważać się za niezwyciężonych i składać broń.“ Prawdę powiedziawszy ma i słuszność twoja żona, mój drogi!

De Marsan. Bez komentarzy! Czytaj dalej (zakłada ręce na krzyż z miną stoicką).

Dessoles (czyta). „Uważać się za niezwyciężonych i składać broń.“ Zastanów się nad tem de Marsan, gdyż wierzaj mi iż za wcześnie złożyłeś broń, (czyta). „Cóż to za przeciwieństwo uderzające między tymi dwoma ludźmi, np. sposób postępowania tego p. Piotra.“ Otóż to! „Tamten.“ Hm! „Tamten.“ (resztę czyta cicho i zdaje się niedowierzać).

De Marsan. Zdaje się iż obraża się twa skromność? Na mnie więc kolej czytać, pozwól mi.... (odbiera zeszyt).

Dessoles. Słucham!

De Marsan (czyta). „Tamten to jest p. Piotr. Jest to człowiek który wart tego, żeby go powiesić, ale sznurka nie oderżnąć.... (powtarza śmiejąc się) „sznurka nie oderżnąć.“

Dessoles. Ja słyszę dobrze.

De Marsan (czyta). „Podobny on jest do tych rozbójników morskich, którzy co raz zmieniają swoje bandery, stosując się do okoliczności; tak zupełnie i on nie ma stałej barwy, tylko przybiera taką jaka mu się wydaje najstosowniejszą w danej chwili, zmieniając się jak kameleon.“ Piotrze, możebyś usiadł. „Np. wzięłam go teraz między pakunkami wyjeżdżając na wieś, gdyż chciałam poznać w naturze ten rodzaj zwierzęcia.“

Dessoles (żywo). Ależ tego to już nie ma: to ty dodałeś. Zwierzęcia!...

De Marsan (pokazując mu zeszyt). Patrzaj!

Dessoles (zdziwiony). Tak rzeczywiście! zwierzęcia!

De Marsan (czyta). „Gdyż chciałam poznać w naturze rodzaj zwierzęcia, które się nazywa człowiekiem niebezpiecznym! Lecz w rzeczy samej nic to tak strasznego. Lecz to właśnie było potrzebne, ażebym oceniła należycie przymioty proste i poważne w mym mężu. I mogę powiedzieć iż czym więcej patrzę na p. Piotra tym więcej się przywiązuję do mego męża“ (biorąc Dessol'a za rękę). O mój przyjacielu, jakżeż ci dziękuję, jakżem ci wdzięczny za wszystkie twe trudy. Wszak i tobie miłe będzie to pomyślne zakończenie!..

Dessoles (wściekle). Zostawże mnie w spokoju! Ta twoja żona to prosta zalotnica! (Julia ukazuje się w głębi, przychodząc z prawej strony).

De Marsan. Cicho! to ona. (chowa zeszyt a bierze dziennik).

SCENA V.

Ciż sami i Julia.

Julia (w głębi). A to z was moi panowie znakomici próżniacy... Czy wiecie o tem iż ja już zrobiłam z milę w parku!

De Marsan. To też wyglądasz świeżo jak róża moja ty najdroższa! (bierze ją za rękę). Tak droga Julio. Spojrzno na nią mój Piotrze!... Czy nie po dobna do bogini wiosny!...

Julia (z grymasem pogardy). Oh! jakże ja nie znoszę tych publicznych oznak czułości. Zkądże ci się wzięła tak niezmiernie rozpromieniona fizyognomia mój panie? Cóżeś tam znalazł nadzwyczajnego w tym dzienniku? (wskazuje na gazetę). Czyś zaawansował czy cię czem zanominowali?

De Marsan. Bynajmniej... przeciwnie... otrzymałem uwolnienie od służby, którego żądałem. Jestem tak szczęśliwy moja droga, być znów tutaj przy tobie... tak jak przed dziesięcią laty!...

Julia (patrzy na niego ze zdziwieniem później obracając się do Dessolesa pyta go sucho). Co się stało nowego?...

Dessoles. Wszak mąż już pani powiedział... iż jest szczęśliwym! (kłania się) lub nim wkrótce będzie.

Julia. Także... tedy... czy pójdziemy na spacer przed śniadaniem?...

De Marsan. Co do mnie, to mam dużo do pisania, lecz Dessoles pójdzie z tobą (ironicznie podprowadzając Dessoles'a do żony). Idź mój przyjacielu... idź się przejść z moją żoną!

Dessoles. Obawiam się czy pani nie jest znużoną.

Julia. Bynajmniej, jestem gotową na nowo rozpocząć przechadzkę.

De Marsan. No idź więc, mój przyjacielu. Ja myślę, Boże mnie zachowaj, iż on się lęka, ażebym nie był zazdrośny o niego!... Idź więc już raz, ty zanadto delikatny i skrupulatny człowieku!

Dessoles. A więc, pani raczy mi podać swą rękę.

Julia (idzie pod rękę z Dessolem, przechodząc powiada do męża): Możesz sobie pochlebić, iż jesteś niepospolitym człowiekiem... (wychodzą).

(d. n.)

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów".)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

XVI.

Dotąd Wiedeń przedstawiał nam się elegancko i świetnie, teraz popatrzemy na jego posępne i ponure strony.

Przeszedłszy przez Hof i zwróciwszy się w ulicę Żydowską, ujrzymy na lewo ciasną i brudną uliczkę poprzerzynaną tu i owdzie cuchnącemi kałużami, a na niej stary ponury budynek jakby zaczajony w najciemniejszym kącie. Małe okienka u dołu zabite deskami, opatrzone gęstą i grubą kratą, wznoszą się po nad dachy domów sąsiednich. Wielka i ciężka brama, pomalowana w pasy czarne i białe, stoi zagłębiona w murze grubym na trzy stopy. Posępna nagość fasady, ponure, zalegające milczenie, czarny cień jaki od gmachu tego pada na ulicę, a nadewszystko mimowolne poczucie wstrętu jakim przejmuje nas jego widok, wszystko to wskazuje że to jest przybytek zbrodni i nędzy, upust na męty przepełniające wielkie miasto. Jakoż jest to więzienie.

Gdy wielka, żelazem okuta brama zaskrzypi na swych zużytych zawiasach i otworzy się przed nami, wchodzimy do wnętrza i zaraz spotykamy strażników miejskich ze szpadami przy boku, w długich płaszczach, z fajkami w ustach, którzy rozmawiają z sobą stojąc lub siedząc na ławach.

— Gdzie mieszka dyrektor więzienia? zapytałem jednego.

— Na pierwszem piętrze na lewo; zadzwonić.

Właśnie gdy mi odpowiadał, brama zaskrzypiała, otworzyła się i weszła nieśmiało strasznie wynędzniała kobieta, z pożółkłą i wychudłą twarzą, z rękami zsiniałemi od zimna; pod pachą trzymała małe zawiniątko. Miała na sobie bardzo zniszczoną perkalikową suknię; nogi bose pomimo mrozu i śniegu zaścielającego ziemię.

— Czego chcesz? zapytał jeden ze strażników.

— Dzieci moje poumierały z nędzy, rzekła smutnie ocierając zaczerwienione oczy. Mąż mnie opuścił, gospodarz domu wyrzucił mnie z nędznej nory w której mieszkałam a roboty znaleźć nie mogę. Już dwa dni tułam się bez schronienia; wczorajszą noc spędziłam na śmietniku w jakimś dziedzińcu. Jestem głodna a nie chcę kraść, proszę przyjmijcie mnie tu.

— Dobrze, wejdź, rzekł strażnik.

Więzienie przy Sterngasse (ulica Gwiazdy) jest zarazem aresztem policyjnym i coś nakształt Domu schronienia, przyprowadzają tu nietylko włóczęgów ulicznych, złodziei, oszustów, schwytanych morderców, którzy po dwudziestu czterech godzinach pobytu w Sterngof, zwanego w szwargocie Hotelem pod Gwiazdą, przeprowadzają do więzienia kryminalnego, ale oprócz tego dają tu czasowy przytułek biedakom pozbawionym chwilowo schronienia i sposobu utrzymania. I skazani na areszt od sześciu godzin do dni piętnastu, tu odsiadują karę. To też w małem podwórku panuje ruch nieustanny; ciągle chodzą tam i napowrót, a dwa razy dniem o w pół do jedenastej i o w pół do trzeciej, przywożą i odwożą więźniów.

Dyrektor więzienia p. Wahler, przyjął mnie bardzo uprzejmie; jak tylko oznajmiłem że pragnę zwiedzić jego zakład, wziął mundurową czapkę i pęk kluczy i poprowadził mnie najpierw do oddziału męzkiego, pomieszczonego na dole. Długie, sklepione, ciemne korytarze, ponure i milczące, w których kroki odbijają się jak od tablic grobowych, ciągną się gdzieś nieskończenie tak że końca nie dojrzysz, przypominają pierwotne przeznaczenie tego gmachu. Był to klasztor i dopiero w 1783 r. zamieniony został na więzienie.

Sinawe światło przedziera się zaledwie przez zagłębione w murze maleńkie zakratowane okienka, mieszczące się w zielonawym, wilgotnym, pleśnią pokrytym murze; możnaby sądzić że się przechodzi przez katakomby.

Nie ma tu aresztantów odosobnionych; umieszczają ich w dawnych celach zakonników, po dwóch trzech a nawet czterech, zaś w wielkich salach mieści się ich po dwudziestu, trzydziestu, lub czterdziestu razem, siedzą ściśnieni jak barany w owczarni.

Za otworzeniem drzwi czarnych, opatrzonych w olbrzymie zamki i rygle, gdy blady promień światła padnie na tę szarą i cuchnącą masę łachmanów, wtedy w tem rojowisku rzuconem na krańce nędzy i zbrodni daje się słyszeć jakiś szmer zwierzęcy, jakby poruszanie się mrowiska gdy świtać zaczyna, i można dojrzeć choć niewyraźnie zyzowate oczy, wązkie, upór znamionujące czoła, dzikie, zezwierzęcone postacie; twarze ponure i cierpkie, jak oskarżonych siedzących na ławach w sądach przysięgłych. Są to złodzieje, oszuści, włóczęgi wszelkich odcieni, po większej części nie pierwszy raz siedzący w więzieniu, a w pośród nich, niby zbłąkana owca, jakiś robotnik w fartuchu, którego zaleziono pijanego przed szynkiem; to znów Słowak wcale nie umiejący po niemiecku, którego przywołany tłomacz ma indagować za kilka godzin; furman który w kłótni znieważył straż miejską; i t. d.

Całe sale zapchane są ulicznikami od lat dwunastu do siedmnastu, w łachmanach, w zuchwałej postawie, miny wyuzdane, głos ochrypły, twarze obwisłe i wynędznione, noszące na sobie piętno występku i rozpusty. Są to popisowi do licznych szeregów zbrodniarzy, zaludniających domy poprawy i więzienia. Prawodawcy spoglądają z przerażeniem na corocznie pomnażającą się liczbę rekrutów włóczęgostwa i złodziejstwa po wszystkich wielkich miastach. Jak w Wiedniu tak i w Paryżu, jakże to wielką liczbę tych małych włóczęgów zbierają codziennie po ulicach, i jakże boleśnie jest patrzeć na dzieci od lat ośmiu do dziesięciu, których kolebką ulica, po większej części nie mające ani ojca ani matki, igrające i bawiące się wesoło, z właściwą wiekowi swemu obojętnością, w czarnej, źle oświetlonej sali, z podłogą asfaltową jakby zalaną atramentem, wilgotną jeszcze od rannego mycia, po galeryi której ciągle przechadzają się strażnicy.

— Czy uważałeś pan, rzekł dyrektor, wychodząc z trzeciej sali, człowieka stojącego w kącie, który wsparty plecami o mur, obu rękami twarz sobie zasłania.

— Tak, zapewnie drzymie.

— Przeciwnie, jest nadzwyczaj rozdrażniony; dziś w nocy zabił swoją żonę, i dla tego tylko pomieściliśmy go z innymi aresztantami, aby pilnowali żeby sobie nie odebrał życia.

— Jakimże sposobem został tak zaraz przyaresztowany?

— Sam oddał się w nasze ręce: „Zabiłem żonę moją wystrzałem z rewolweru, rzekł do naczelnika strażników; jest to łotrzyca, porzuciła mnie przed trzema miesiącami, spotkałem ją dziś nad ranem i wymierzyłem zasłużoną karę.

Następnie zwiedziliśmy warsztat stolarski umieszczony w piwnicy; pracowało tam dziesięciu ludzi; ztamtąd przeszliśmy na drugie piętro.

— Oto widzisz pan, rzekł dyrektor, wprowadzając mnie do niewielkiego pokoju, całą rodzinę biedaków, których smutny obrót interesów przywiódł do tego stanu. Trzymamy ich tu aby nie poumierali z głodu na ulicy.

Było ich ośmioro; ojciec i matka, istne szkielety z zapadłemi oczyma, kości policzkowe wystające i sześcioro dzieci, najstarsze siedmioletnie, które na wpół nagie leżały na ziemi na garstce słomy. Serce się ściskało patrząc na tak straszną nędzę.

— Biedny człowieku, rzekłem do ojca dzikim i ponurym wzrokiem wpatrującego się w swoje dzieci; jakże to być może aby wam nikt nie dopomógł?

— Cóż dziwnego, proszę pana, nie my jedni jesteśmy w nędzy... Praca się nie wiedzie jakoś.... och! gdyby mi nie byli otruli mego psa, dodał zaciskając pięście, jak mi Bóg miły, nie bylibyśmy tutaj.

— Otruli ci psa? zapytałem z zadziwieniem.

— Tak, panie, mego wiernego Turka; poczciwe psisko pomagało mi co rano ciągnąć mój wózek, bo trzeba panu wiedzieć że byłem przekupniem. Nie jest to proceder bardzo zyskowny, ale można wyżyć; a zresztą, my biedacy poprzestajemy na małem; szklanka piwa i kilka kartofli, to i dosyć. Ale nikczemnicy otruli mi psa, jestem pewny że to przez zazdrość; żona temu przeczy, ale znam ja lepiej od niej mojego szwagra! Pokłócił się ze mną, za to że raz przejechałem z moim wózkiem po tej samej co on ulicy... Ze śmiercią mego Turka wszystko się urwało; żona leżała chora, ja nie miałem za co kupić drugiego psa, a nikt nie chciał mi kredytować. Kto chce mieć kredyt, musi chodzić pięknie ubrany. Sam tedy zaprzągłem się do wózka, pełen rezygnacyi i odwagi, bo ciągle stały mi na oczach moje zgłodniałe dzieci i moja biedna chora żona. I tak ciągnęło się dopokąd nie padłem na bruk ze znużenia... cóż już mogłem poradzić, byłem bezsilny jak koń co zerwał nogi... Tak to się dzieje u nas biedaków! nigdy nie koniec na jednem nieszczęściu... Sąsiedzi pomagali nam jak mogli, jeden dał trochę mleka, drugi chleba, ale trzeba nam było koniecznie pieniędzy na zapłacenie komornego... Ach! jakżeśmy go błagali o litość... dzieci

klękały przed nim.... daremnie, był nieubłagany. Nie mam szpitala tylko dom, jutro precz! Cóż było robić, był w swojem prawie, winni byliśmy kwartalne komorne... Najmniejsze dzieci wsadziłem do wózka i jak mogłem tu przyciągnąłem.... a matkę przeniesiono tu na noszach. Oto nasze dzieje, panie, ale nie możemy się skarżyć, tysiące ludzi jest w tem samem położeniu.

Żal mi się zrobiło biedaków; przy pożegnaniu wsunąłem mu w rękę kilka fiorenów.

Wszystkie sale idące w tym szeregu są zajęte przez równie nieszczęśliwe rodziny, zupełnie w podobnem położeniu.

Nie miałem odwagi ich odwiedzać.

W Wiedniu miłosierdzie publiczne jest doskonale uorganizowane i znaczna jest liczba zakładów dobroczynnych. Są także domy przytułku w których dają pomieszczenie i życie przez cały dzień, każdemu kto tylko przyjdzie. Na każdem przedmieściu są „domy dla biednych" i tanie kuchnie, w których robotnik może dostać rosołu i kawał mięsa, niżej ceny kosztu. Są żłobki, ochronki i szpitale wybornie urządzone. Na Leopoldstadt, Bracia Miłosierdzia utrzymują wielki szpital, założony jeszcze za czasów wojen kryżowych. Bracia w czarne odziani sutanny, są doktorami, chirurgami; aptekarzami, przyjmują i doglądają darmo chorych wszelkich narodowości. Znaczna liczba rozmaitych zakładów prywatnych, rozruconych po całej stolicy, dowodzą że miłosierdzie i dobroć serca, są to cnoty nie obce Wiedeńczykom. Duchowieństwo jest tu bardzo bogate, ale też chętnie dzieli się dobytkiem swoim z biednymi, utrzymują liczne zakłady dobroczynne i ochronki. Z pomiędzy tych zakładów odznacza się przytułek dla starców, kierowany przez kanonika Gugenhof.

Ale wróćmy do więzienia i więźniów.

Przeszliśmy do oddziału kobiet.

Skazane na kilka dni, w liczbie dwudziestu pracują po warsztatach lub zajmują się szyciem, inne, zamknięte w czterech zakopconych ścianach, czekają niecierpliwie aby je wezwano do indagacyi.

Przeszedłszy nizki i ciemny korytarz, zatrzymałem się przed rodzajem klatki drewnianej, z nieco podwyższoną kratkowaną podłogą. Z początku widziałem tylko jakby kupę brudnych łachmanów, ale lepiej się wpatrzywszy, rorpoznałem dziwną postać starej kobiety, siedzącej na nogach z głową spuszczoną między łopatki.

— Co to jest? zapytałem dyrektora.

— Jest to tak zwana ,,Izba oczyszczenia," wsadzamy tu kobiety niechlujne splugawione robactwem. Tak tu ciasno i brak miejsca, a przecież musimy trzymać je oddzielnie.

— Ależ to coś okropnego taka klatka! to raczej tortura niż więzienie.

— Cóż mamy robić! jak będziemy mieli nowy gmach, urządzimy go lepiej. Będą kąpiele.

Doszliśmy do drzwi prowadzących na dziedziniec, otoczony wysokiemi murami, w dnie słoneczne dochodzą tu niekiedy promienie światła, ożywiające nieco ten jakoby dom przedpogrzebowy. Ale podczas zimy, ogołocone z liści drzewa, przedstawiają jakby straszne profile szubienic, a przechadzający się aresztanci, brną w sniegu po kolana. W kącie urządzony jest zakład fotograficzny, w którym zdejmują fotografie z oskarżonych i ukrywających swe nazwiska. Jakże ciekawe jest to album rozłożone na stole! Jest to jakby księga sądu ostatecznego, dział potępieńców. Jakież to wymowne typy rozbijających po drogach, rabusiów i złodziei! co za menażerya dzikich ludzi, z instynktami hyen i tygrysów uważających ludność za las, w którym panuje prawo dzikości i siły! Oto mordercy, ojcobójcy, fałszerze, oszuści, złodzieje i nareszcie młodzi chłopcy przebrani za kobiety. Jest ich trzech, i rzeczywiście wyglądają jak dziewczyny, tak gładkie mają brody, pomalowane policzki, włosy jak fryzowane spadające na czoło, ręce małe i chude. Są to berlińscy przybysze, którzy pod osłoną tego przebrania przez dwa lata dopuszczali się w Wiedniu wykroczeń, które tylko przy drzwiach zamkniętych sądzone być mogą.

Na kartach tego przerażającego album, roztacza się długi ponury szereg postaci, poczynających od więzienia prewencyjnego a kończący się na galerach lub na rusztowaniu. Jakież to niewyczerpane źródło dla moralisty, dostrzegacza, fizyognomisty, którzy mogą jednocześnie przyglądać się fotografiom i twarzom zbrodniarzy, porównywać postacie i czyny. W tej galeryi przedstawia się naszym oczom moralne życie całego stulecia.

Naprzeciw wznosi się dom badań, udałem się tam rano, w godzinie gdy furgony więzienne dostawiają tu swoją nocną zdobycz. Wszyscy aresztowani zostają zaprowadzeni do niewielkiej i brudnej izby; kobiety stawiają po jednej stronie, mężczyzn po drugiej. Zapisują ich nazwiska i rewidują, ale nie rozbierając, przeszukują tylko w kieszeniach. Co tylko znajdzie się, pieniądze, czasem klejnoty, obwijają w papier i piszą na nim numer i nazwisko posiadacza.

Gdy mnie wprowadzono do sali, znajdowało się w niej ze trzydziestu mężczyzn ustawionych w półkole; jedni w łachmanach, drudzy dość czysto przyodziani. Niektórzy mieli powieki zaczerwienione i nabrzękłe i spali stojąc, wyniszczeni znużeniem i niedostatkiem. Inni, mieli na głowach połamane i podarte słomiane kapelusze, na nogach dziurawe sandały, i wodzili w około badawczym i niespokojnym wzrokiem dzikiego zwierza zamkniętego w klatce. Niektórzy z głodu dzwonili zębami, inni mieli na sobie jakąś kapotę zapiętą pod szyję, ale nic pod nią. Jakiś starowina owinięty w poszarpaną kołdrę, z długą białą brodą, przygarbiony, mamrotał jakieś słowa bez związku; młodzi ulicznicy dawali sobie znaki i śmieli się cynicznie. Tam znów młoda dziewczyna odsunęła się w najciemniejszy kąt, jakby wstydząc się że się tu znajduje i unikając zetknięcia się z rozkielznanemi towarzyszami. Były także kobiety, jedne w jedwabiach, inne biedniej odziane, a wszystkie wstrętne, noszące ślady rozpusty. Wyszedłem, odwracając się z odrazą.

Następnie zwiedziłem więzienie. Trudno opisać niechlujstwo celek i sal zapełnionych smrodliwem powietrzem, w ktorych więźniowie nagromadzeni jak bydło w wagonie przeznaczonym dla zwierząt. Są to istne zbiorniki zarazy. Nie ma nawet wody, nie ma studni tak że więźniowie nie mogą się nawet myć ani przeprać swej bielizny; nieraz gnije na nich jedyna koszula jaką mieli. Trudno wystawić sobie coś równie wstrętnego.

(d. c. n.)

Gawędy naukowe.

Fonograf i Aerofon. — Wizyta u Edisona w Menlo-Park w Stanach Zjednoczonych.

Akustyka, ta część fizyki najbardziej dotąd zaniedbana, w ostatnich czasach niezmierne uczyniła postępy przez odkrycie telefonu, mikrofonu i fonografu, oraz ciągłem udoskonalaniem tych przyrządów. Pomysłowością prawdziwie genialną i wytrwałością w pracy, najwięcej na tem polu położył zasług Amerykanin Edison. Jeden z korespondentów New-Yorkskiego pisma *The Daily grafic*, podaje ciekawe szczegóły o bytności swojej u Edisona i o cudownych jego wynalazkach, opowiadanie to w streszczeniu zamieszczamy:

Wraz z jednym z przyjaciół udałem się do Menlo-Park, w New-Yersey, w celu poznania p. Edison i przypatrzenia się jego wynalazkom. Menlo-Park nie jest właściwie ani parkiem ani miasteczkiem. Położone przy kolei Pensylwańskiej, nie posiada nawet przystanku, pociąg chwilę tylko tu się zatrzymuje i konduktor wywiesza flagę na znak dla podróżnych którzy tu oczekują. Miejscowość ta składa się z pracowni Edisona i z pół tuzina domków zajętych przez pomocników i robotników jego. Menlo-Park stosowniej zatem nazwę Edisonia nosićby powinien. Przy samej kolei wznosi się skromny budynek, długi i biały, o licznych oknach, złożony z mieszkania parterowego i jednego piętra. Jest to owo laboratorium które tak szybko sławnem się stało. Wielka ilość drutów telegraficznych w różne strony z niego się rozchodzi. Parter zajęty jest przez pisarzy i buchhalterów, a w drugiej jego połowie znajduje się warsztat, w którym kilkunastu zdolnych robotników pracuje przy kuźniach, kowadłach i tokarniach nad wyrabianiem przyrządów dla właściciela zakładu.

Wchodzimy na piętro, do wielkiej sali zajmującej cały budynek i mającej okien ze dwadzieścia, ściany jej okrywają pułki zastawione flaszkami i flaszeczkami, jest tu ich tysiące wszelkich barw i wielkości. W jednym kącie widzimy małe organy gabinetowe. Stoły i ławki dźwigają stosy elektryczne wszelkich rodzajów, mikroskopy, lupy, retorty, tygle i alembiki, a mała kuźnia przenośna pełna świeżych popiołów, dopełnia całości tej chemicznej pracowni. Przy jednym ze stołów siedzie dwie osoby kolejno zbliżające to do ust to do ucha trąbkę czyli mundsztuk telefonu.

— Co panowie dziś robią? zapytał przechodząc moj przyjaciel, dla rozpoczęcia rozmowy.

— Ukończyliśmy urządzenie stacyi telefonu mówiącego i teraz rozmawiamy w okręgu 800 mil (angielskich), *via* St. Louis, Cincinnati, Louisville, Washington i Filadelfia. Jest to największe koło po jakiem kiedykolwiek głos przebiegał. Rzecz nie byłaby możebną bez stacyjnych przyrządów Edisona...

— Co?... Nie słyszę dobrze wyrazów.

Te słowa korespondent powiedział w mundsztuk telefonu; przeleciały one aż do Mississipi, ażeby wrócić po upływie sekundy i osoba na drugim końcu stołu siedząca odpowiedziała:

— Czy słyszysz mnie teraz?

Człowiek młody jeszcze zajęty był na środku sali wycieraniem kawałka cynowego papieru, na tekturze położonego, usiłował wygładzić najdrobniejsze rysy i skazy jego. Ten człowiek dość słusznego wzrostu, miał twarz chudą i szczupłą, o policzkach zapadłych. Wśród tłumu nie ściągnąłby na siebie uwagi i niktby w nim nie dopatrzył śladów wyższej inteligencyi. Czas uważać musiał jako zanadto drogi aby go marnować na toaletę, albowiem obuwie jego od ośmiu dni przynajmniej z szuwaksem się nie widziało, a broda której nie zapuszczał, z mydłem i brzytwą. Ciemno blond włosy musiały być ostrzyżone ręką samego ich właściciela, tyle wcięć nieforemnych okazywały, a na wierzchu głowy jeżyły się w czubek jak korona na ananasie. Usta były bardzo wyraziste. Błękitne żyłki po rękach i cienkie drgające palce, zdradzały wyjątkową inteligencyą, ale co najbardziej ściągało każdego obcego, to oko żywe, głębokie, ogniste, jasno wskazujące skupienie i naprężenie myśli tego człowieka,

który był właśnie szukany przez nas p. Tomasz Alva Edison.

— Poczyniłeś pan liczne i piękne odkrycia, zacząłem po przywitaniu.

— Trochę, odpowiedział z akcentem Wschodu. Wynalazłem kilka dość dobrze pomyślanych machin, ale, oto moje ukochane dziecko, dodał kładąc ręką na fonografie mówiącym i zasiadając przed przyrządem.

Nogą poruszył drążek, a luźny rzemień nałożył na walec fonografu, któremu przez podłogę nadaje ruch machina parowa na parterze umieszczona. Walec ma trzy cale średnicy i czyni czterdzieści do pięćdziesięciu obrotów na minutę.

Pokrywa go świeży arkusik cynowego papieru zupełnie wygładzony.

W zwyczajną trąbkę telefonową na boku umieszczoną, p. Edison rzekł głośno, stosując słowa swoje do pewnego hiszpana którego mu właśnie przedstawiono: *Buenos dias, senor, como esta usted?* Hiszpan usiadłszy z kolei do fonografu natychmiast w tenże sposób odpowiedziała: *Setze judges mentjau fetxa d'un penjat.* Ta zamiana komplementów trwała około jednej minuty.

I znowu Edison nogą porusza drążek, walec się zatrzymuje, on odejmuje zbliżony do walca mundsztuk telefonu. Rozpatrujemy papier cynowy. Połowa jego przedtem tak gładka, pokryta jest teraz drobniutkiemi liniami nieregularnemi, ściśnionemi jedne przy drugich; na przestrzeni jednego cala jest ich piętnaście; wiele z nich ma ząbki tak drobne iż zaledwie dostrzedz się dają.

(d. n).

Przegląd literacki.

Wydawnictwa historyczne i pamiętniki. 1) Dziejopisarstwo polskie wieków średnich, dzieło prof. H. Zeissberga, przekład z niemieckiego (pod redakcyą A. Pawińskiego) 2 tomy. Warszawa 1876. 2) Źródła dziejowe Tom III. Stefan Batory pod Gdańskiem (1576—1577), listy, instrukcye i uniwersały, wydał A. Pawiński. Tom IV. Początki panowania Stefana Batorego (1575—1577), listy, uniwersały i instrukcye wydał A. Pawiński. Tom V. Lustracye królewszczyzn w ziemiach ruskich Wołynia Podola i Ukrainy, wydał A. Jabłonowski. Tom VI. Opis zamków ziemi wołyńskiej, wydał A. Jabłonowski. Warszawa 1877. 3) Opowiadania i studya historyczne przez K. Jarochowskiego. Warszawa 1877. 4) Stefana z Prószcza Medekszy, księga pamiętnicza wydarzeń zaszłych na Litwie 1656—1668 r. z rękopismu wydał dr. Seredyński. Kraków 1875. 5) Biblioteka Ordynacyi Krasińskich. Muzeum Świdzińskiego. Tom III. Pamiętnik Jana Stanisława Poczobuta Odlanickiego (1640—1658). Warszawa 1877. 6) Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce przez Juliusza Falkowskiego. Poznań 1877. 7) Pamiętuiki z wojny hiszpańskiej (1808—1814) Stanisława Brockerc, b. oficera b. legionów francuzko polskich, przełożone z oryginału niemieckiego przez córkę autora Paulinę Cybulską. Warszawa 1877. 8) Listy Słowackiego do matki, tom II, Lwów 1877.

(Dokończenie).

Więcej ma wartości, choć do szczuplejszego okresu czasu zacieśnione, dzieło Brekera, przetłomaczone przez jego córkę, p. Cybulską, na polski język z niemieckiego: autor bowiem w tym ostatnim języku spisał swoje pamiętniki. Odbył on całą kampanią hiszpańską (1808—1814) a ostatnie z górą dwa lata spędził jako jeniec wojenny hiszpanów i anglików na różnych wysepkach balearskich. Jako naoczny świadek i bezstronny opowiadacz, Brekere kreśli w całej grozie cały obraz walk Napoleona z Hiszpanami. Świetne czyny i bezowocne poświęcenia wojsk księztwa Warszawskiego znalazły w osobie autora jeszcze jednego historyka. Opis nędzy, chorób i śmierci głodowej (którą poprzedziło nawet ludożerstwo!) jeńców francuzkich i polskich skreślony z zatrważającą grozą, choć poprostu i wiernie. Autor, choć lepiej władał mieczem niż piórem, posiadał jednak pewne wykształcenie i umiał czynić spostrzeżenia, podany przez niego opis Hiszpanii, jej płodów, charakteru i obyczajów mieszkańców jest dokładny i trafny, a nawet pod wieloma względami i dziś jeszcze prawdziwy, gdyż w Hiszpanii przez lat 50 mało co się zmieniło. Nakoniec pamiętniki Brekera zawierają wiele wspomnień o spółtowarzyszach broni, co może stać się drogą pamiątką dla ich potomków. Styl i język przekładu nie celują wielkiemi zaletami: czuje to i sam tłomacz, skromnie żądający pobłażania.

Ostatniem z dzieł, które porachowaliśmy do wydawnictw historycznych i pamiętnikowych, jest tom drugi listów Słowackiego do matki — ważny przyczynek do historyi literatury polskiej. Tom ten wydanym jest wprawdzie jako całość odrębna, wszelako jest dalszym ciągiem i uzupełnieniem pierwszej seryi listów poety, dawniej wydanej, o której umieszczoną już była recenzya w Tygodniku jeszcze w roku zeszłym. Niniejszy tom zawiera korespondencyą poety od r. 1836 aż do jego zgonu, to jest do r. 1849; i tu, jak w poprzednim maluje się w zupełności charakter Słowackiego, który odzwierciedlił się we wszystkich jego utworach: szczytne popędy i wzniosłe uczucia, przeplatane goryczą zwątpienią i sarkazmu, pokora naprzemian z pychą szaloną, pragnienie miłości z pogardą dla ludzi, chłód egoizmu z wylewami najtkliwszego przywiązania synowskiego — jednem słowem te wszystkie sprzeczności charakteru, które dręczyły poetę za życia, z których wypłynęły wszystkie kreacye w jego poezyach i które nareszcie przyczyniły się do wyrobienia Słowackiemu chwiejnej i nieustalonej opinii u spółczesnych i u potomności i do wydania tak rozmaitych i sprzecznych sądów o duchu jego poezyi. Dość np. przytoczyć znany sąd Mickiewicza o poezyi Słowackiego, jako o „kościele bez Boga," wraz z niewątpliwemi objawami niedowiarstwa, trafiającemi się w jego utworach i z przeważającą dziś jeszcze opinią pozytywnych niedowiarków, którzy uważają Słowackiego za swego patrona; z drugiej zaś strony przeczytajmy to, co pisze sam poeta o spędzonej we łzach i modlitwie nocy u Grobu Pańskiego w Jerozolimie i wiele innych ustępów z jego listów (nie mówimy tu o późniejszych, z epoki mistycyzmu Towiańskiego): czy tak mógł postępować lub pisać niedowiarek? Dusza ludzka jest to głębia niezmierzona, zbiór sprzeczności i niewytłomaczonych zagadek, a zwłaszcza dusza wielkiego poety.

Szereg korespondencyi otwierają listy z Włoch, dokąd Słowacki udał się ze Szwajcaryi, unikając zbyt natarczywej przyjaźni Eglantyny i wspomnień o stosunku z Maryą B. Następują listy z podróży na wschód — do Grecyi, Syryi i Egiptu — która stanowiła najpogodniejszą epokę w życiu poety: z zebranych wrażeń i spostrzeżeń miał powstać obszerny poemat, w rodzaju Czajld Herolda, ale zaledwie został rozpoczętym; jako owoc owej podróży, posiadamy tylko Ojca Zadżumionych i pojedyńcze szczegóły i obrazy wschodnie w kilku innych jego utworach. Ze wschodu poeta wrócił do Włoch, a potem 1838 r. wyjechał do Paryża gdzie już do końca życia pozostawał. Dwóch tylko pomiędzy rodakami zyskał przyjaciół: Zygmunta Krasińskiego, a następnie Szczęsnego Felińskiego; niechętnych zaś i zatargów miał wiele, szczególniej pomiędzy wielbicielami Mickiewicza, z którym Słowacki zostawał w ciągłem nieporozumieniu. Po wydaniu przez Słowackiego poematu „Beniowski," w którym ostro dotknął wielu rodaków, powiększyły się jeszcze rozmaite niesnaski. Listy poety z tego okresu przepełnione są goryczą i szyderstwem: nierad był z siebie i z całego świata i czuł się samotnym rozbitkiem, zwłaszcza gdy po zerwaniu stosunków z Anielą M. we Florencyi — zerwanych kapryśnie, jak wszystkie inne przez samego poetę — minęła dla niego doba rojeń miłosnych. W 1841 roku Słowacki, podobnie jak Mickiewicz i wiele innych umysłów wyższych, uległ wpływowi mistycznej nauki Towiańskiego.

Wpływ ten nie był korzystnym dla jego twórczości poetyckiej: utwory Słowackiego z owej epoki (Lilla Weneda, Król-Duch, Sen srebrny Salomei) są pod wieloma względami niższe od dawniejszych dzieł poety, a po części mgliste i niezrozumiałe, wiele innych prac Słowacki tylko napoczął, ale nie dokończył. Listy jego do matki z owych lat są monotonnem powtarzaniem mglistych proroctw, mistycznych widzeń i kaznodziejskich nauk. Matka poety — kobieta wykształcona i z jasnym na rzeczy poglądem — niebardzo podzielała jego mistyczne uniesienia, co wielce dotknęło Słowackiego i ostatecznie przyczyniło się nawet do pewnego ochłodzenia stosunków pomiędzy synem i matką. Spotkali się oboje po 20 latach niewidzenia i po raz ostatni w r. 1848 we Wrocławiu, a w kwietniu roku następnego już Słowacki nie żył; ostatni list jego do szwagra Januszkiewicza nosi datę 4 marca 1849.

Opis ryciny kolorowej.

Ubranie spacerowe. Mantylka z przewiązanymi końcami i kapelusik z tego samego co suknia materyału. (Zefiryny gładkiej i w pasy). Vêtement z tyłu cokolwiek podpięte, z przodu u dołu wycięte w zęby; mocne niciane koronki i ciemne z perłowej massy guziki uzupełniają ubranie sukni.

Ubranie domowe składa się ze spódnicy i vêtement z piaskowego batystu, przybrane koronką piaskowego koloru przerabianą z niebieskim, pliski i szarfy z matowej niebieskiej repsowej wstążki. Wązka falbanka idąca od boku vêtement ciągnie się naokoło; tylna część vêtement ułożona jest w sute fałdy i przepięta szarfą z niebieskiej wstążki.

Ubranie dla małej dziewczynki. Na białej batystowej haftowanej sukience wierzchnie ubranie z białego kaszmiru, alpagi lub zefiryny wycięte naokoło w ząbki i objęte różową materyą.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Opis do N. 28.

N. 1—3. Opisy w N-rze 27.

N. 4—5. Sukienka dla dziewczynki lat 3—5. Krój na arkuszu N. VIII, Fig. 35—43.

Ubranie przedstawione z przodu na ryc. 4 a z tyłu na ryc. 5, odszyte jest z bawełnianego letniego materyału gładkiego i w kratkę; składa się z fałdowanej spódniczki i długiego kaftanika z kamizelką, którą kraje się oddzielnie, podszywa wzdłuż przodów i zapina na guziki. Zszywając kaftanik podług odpowiednich liter, potrzeba boki i plecy zeszyć tylko do pierwszego B, D i gwiazdki, pozostające dalej kawałki podkłada się pod spód w pukle o tyle aby odpowiednie litery zeszły się z sobą. Do sukienki w kratkę kamizelka, kołnierz, kieszonki i wykłady na rękawach dodane są z materyału gładkiego, a do gładkiej z materyału w kratkę. Brzegi proste lub wycięte w zęby obejmuje wypustka z cieniutkim sznureczkiem. Na spódniczkę fałdowaną potrzeba brytów prostych po 26 cent. długich a 225 szerokich, złożonych w kontrafałdy po 8 cent. szerokie; górny brzeg wszywa się w pasek 74 cent. długi, który podszywa się pod kaftaniczkiem wzdłuż linii prostej, oznaczonej na formie.



N. 1. Suknia princesse dla dziewczynki lat 8—10.

N. 2—3. Suknia z vêtement formą princesse.

N. 6 i 19. Ubranie do gimnastyki dla chłopca lat 10—12. Krój na arkuszu N. XI, Fig. 51—53.

Kurtka i majtki krają się z drelichu lub płótna, brzegi ozdabia rząd stębnówki; guziki rogowe lub z konchy. Majtki zszyte są z brzegów środkowych od *a—b*, z zewnętrznych zaś od *c—d*, poczem obie połowy łączą się od *e—f*; brzeg górny wszyty w pasek 76 cent. długi, z przodu 4, z tyłu $1\frac{1}{2}$ cent. szeroki, opatrzony guzikami do założenia szelek. Przody podszyte są z brzegów listwą 12 cent. szeroką a u dołu skosem $2\frac{1}{2}$ cent. szerokim, pod kieszenie podszywa się kawałki 14 cent. szerokie a 12 długie. Patki do zapięcia pleców są po 14 cent. długie a $2\frac{1}{2}$ szerokie.

N. 7. Koszyczek do robót, ozdobiony haftem.

Pleciony z cienkiego łyczka, bardzo zgrabną formą, ma u góry 80 u dołu 27 cent. obwodu, a 26 cent. wysokości. Zwierzchnie przyozdobienie stanowi $3\frac{1}{2}$ cent. szeroki pasek, jasno-popielatego sukna haftowany ponsowym jedwabiem, podszyty ponsową repsową wstążką $2\frac{1}{2}$ cent. szeroką, brzegiem wycięty w ząbeczki i przewijany podług ryc. 6 w ten sposób, ażeby raz haft drugi raz wstążka szła do wierzchu. Na górny woreczek potrzeba prostego kawałka materyi 80 cent. długiego a 20 szerokiego który w górnym brzegu zmarszczony jest na sznur jedwabny z kwastami.

N. 8—9. Kokardy do kołnierzyka.

Rycina 8 przedstawia kokardę z wstążki atłasowej 3 cent. szerokiej, w dwóch cieniach ponsowych, przepiętą zamiast węzła bukiecikiem kwiatów ponsowych, i cieniowanych liści. Na ryc. 9 podajemy kokardę z wstążki atłasowej 2 cent. szerokiej, koloru blado-niebieskiego, różowego i ciemno oliwkowego, upiętą w pukle po 10—13 cent. długie i końce 19—23 cent. długie; węzeł związany z trzech kolorów.

N. 10. Ubranie letnie z batystu.

Złożone ze spódnicy zdobnej trzema rzędami plisowania 9 cent. szerokiego, tuniki i stanika z baskiną oszytych falbaną i plisami haftowanemi w maszynie; plisy są 6 cent., falbana 12 cent. szeroka.

N. 11, 25—26. Ubranie letnie złożone ze spódnicy, tuniki, bluzki i mantylki. Krój na arkuszu N. VII, Fig. 22—31-a.

Ryciny 11, 25 i 26 przedstawiają przód i plecy ubrania letniego ze zręczną mantylką lub bez mantylki (ryc. 25), uszytego z płótna oksfortu lub batystu. Krój bluzki z zaszewkami na piersiach załącza Fig. 20—28; Fig. 29 przedstawia formę tuniki z wypisaniem miar i odznaczeniem fałd; przedni bryt (litera *a*) zszyty jest gładko z małym lewym klinem (*c*), zaś szeroki prawy klin (*b*) oszyty plisą, zachodzi skośno na przód, jak to linia kropkowana odznacza z drugiego skośnego brzegu na 38 cent. wzdłuż jest zszyty z brytem tylnym (*d*) zfałdowanym do tejże długości pasując dwukropkiem do dwukropka, zaś od dwukropka dolna połowa klina (*b*) jest założona w kilka fałd i za pomocą tasiemki wzięta do tyłu. Dłuższy brzeg tylnego bryta złożony w fałdy do 96 cent. długości zszyty jest z klinem c tak samo ufałdowany. Spódnica przykrojona podług fig. 30, oszyta falbaną 19 cent. szeroką, ułożoną w kontrafałdy. Fig. 31 załącza krój zgrabnej mantylki, zdobnej kokardami z repsowej wstążki, 7 cent. szerokiej, po zszyciu pleców od gwiazdki do dwukropka i ramion od Z do krzyżyka, składają się fałdy oznaczone kropkami i krzyżykami. Przybranie sukni odpowiedniej dla młodych osób stanowią gładkie plisy 9 cent. i plisowanie 6 cent. szerokie, albo też koronka niciana i pletnia niciana $2\frac{1}{2}$ cent. szeroka, wyszyta krzyżykami, kolorową bawełną podług ryc. 40 w N-rze 27 Tygodnika.

N. 12—13. Ekran haftowany ściegiem płaskim i stębnowanym na kanwie zwanej „*Charlotte*“. Deseń na arkuszu Fig. 32.

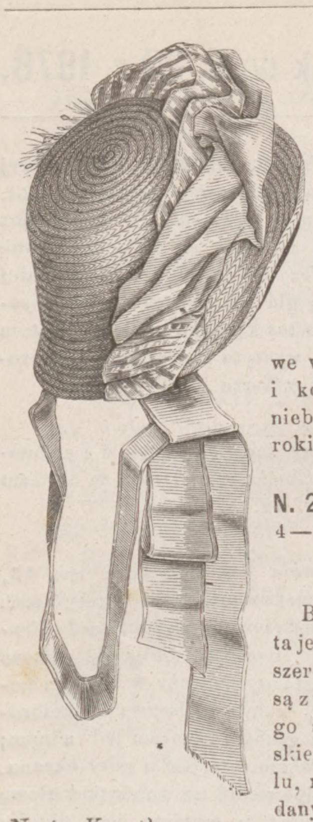
Wykonanie haftu wskazane jest na szlaku ryc. 13, wyszytym na kanwie płóciennej zwanej „Charlotte“; deseń jaki widzimy na ekranie naśladowany jest z krzesła Fryderyka Wielkiego w pałacu Monbijou. Fig. 32 załącza połowę deseniu; jedwab filozelowy dobrany w bladych kolorach; po skończeniu haftu, kanwę podszywa się kolorową materyą a brzegi oszywa grubym sznurem jedwabnym; takiż sznur z kwastami przerzucony jest u góry ekranu. Szlak podany na ryc. 13 odpowiedni na wałek pod głowę do serwety, koszyczków lub t. p. wyszyty jest długim płaskim ściegiem, przedzielanym poprzecznie stębnówką.

N. 14—18. Kapelusze letnie.

Rycina 14 i 16—18 nie wymagają szczegółowych opisów, gdyż opisanie słomkowych kapeluszy i układ kokard wskazują załączone modele, opiszemy tylko kapelusz z białego batystu odpowiedni na dalekie zamiejskie wycieczki lub na wieś. Na rondo potrzeba prostego we dwoje wziętego kawałka materyału 150 cent. długiego a 12 szerokiego, który zszywa się za brzegi poprzeczne; następnie wsunięte są w środek trzy trzcinki po 90, 66 i 50 cent. długości, które przedzielane są rzędami stębnówki, brzegiem zaś na około pozostawiony jest nagłówek 2 cent. szeroki. Główka dana z okrągłego kawałka batystu, 22 cent. średnicy, założonego z brzegów w drobne fałdki, poddanego sztywnym muślinem; po zfałdowaniu łączy ją się z rondem a szew przykrywa riusza 6 cent. szeroka, ułożona w podwójne kontrafałdki. Z boku kokarda ze skosu 10 cent. szerokiego, wyciętego w ząbki, przepięta bukietem kwiatów.

N. 20 tudzież ryc. 3 w N-rze 27. Ubranie do gimnastyki, dla panienki lat 10—12. Krój bluzki na arkuszu N. IX, Fig. 44—46.

Składa się ze spódniczki i bluzki (majteczki daliśmy w poprzednich N-rach) z perkalu w paski lub kratkę niebieską z białem; przybranie stanowią falbanki 7 i 2 cent. szerokie i pliski 1 cent. szerokie z jaśniejszego materyału. Bluzka zapinana z tyłu na guziczki, podszyta w pasie listewką do ściągania na tasiemkę. Górny brzeg spódniczki 52 cent. długiej a 192 szerokiej, wszywa się w prosty pasek ($3\frac{1}{2}$ cent. szeroki a 62 długi), marszcząc tylko bryt tylny a przód i boki pozostają gładkie. W pasku obrabiają się dziurki które zapina się na guziki, przyszyte do bluzki; szarfa liczy 240 cent. długości a 22 szerokości.



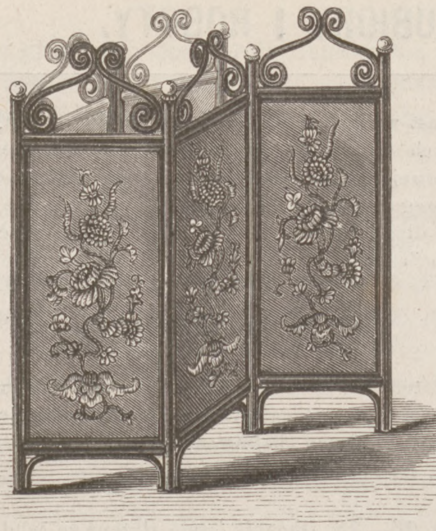
N. 4. Kapotka z angielskiej słomki. Patrz ryc. 5.

N. 21. Sukieneczka princesse dla małej dziewczynki.

Uszyta z blado-niebieskiego kaszmiru, zapięta na kryte haftki ma wzdłuż przodu odznaczony plastron przez naszycie koronki. Strojne przyozdobienie stanowią koronkowe wszywki, naszyte na szwach i kokardki z atlasowej bladoniebieskiej wstążki, 4 cent. szerokiej.

N. 22. Bluza dla chłopczyka lat 4—6. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 51—55.

Bluza z białego perkalu oszyta jest 7 cent. szeroką plisą z ponsowego szwajcarskiego perkalu, nad którą dany szlaczek wyszyty ponsową bawełną. Krająć bluzę składa się materyał we dwoje tak aby ramiona wypadały na złożeniu; klin na ramionach i 5 cent. szeroka zakłada z przodu, dana z perkalu ponsowego; guziczki do zapinania są przyszyte pod zakładą. W pasie zamiast szarfy ponsowy sznur z kwastami.



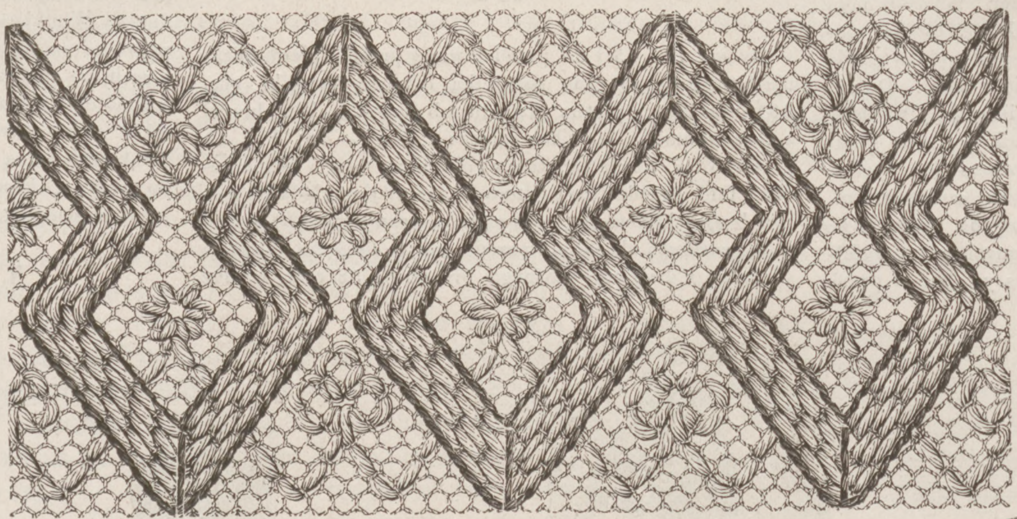
N. 7. Parawanik do lampy. Patrz ryc. 8.

plisowaniem 8 cent. szerokiem.

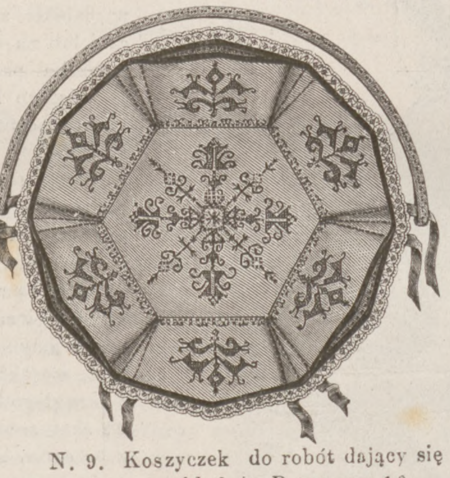
Spódnica z materyi faille (której pasek przyczepia się z tyłu i z boków do szwów stanika) kraje się podług Fig. 7; litery *a—d* oznaczają bryty a literą *e* oznaczona jest część oddzielna stanowiąca draperyę na przodzie sukni, oszytą u dołu frendzlą. Drapeyra ta składa się w cztery fałdy, zwrócone ku górze, (liczy w środku 68, z boków po 92 cent. długości i przyszywa na sukni tak, aby fałdy z przodu rozsuwały się wolno. Fig. 1-a—6-a podaje w zmniejszeniu zestawioną razem formę stanika, bez całkowitej długości draperyi którą wskazuje Fig. 4-a; na podszewkę pod jedwabną grenadynę trzeba użyć materyi czarnej; przy plecach podszewka dana tylko na długość zwykłej baskiny, oznaczonej cienką linią na Fig. 4. Najpierw przody i boki Fig. 1—2 zszywają się od A—B, poczem tylko zwierzchni materyał przodów przy brzegu dolnym od przecięcia do boku zfałdowany jest do 4 cent., to zfałdowanie jest przyczepione później na



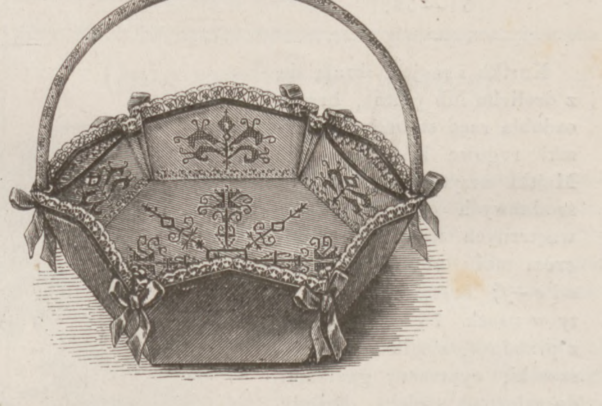
N. 5. Kapotka z angielskiej białej słomki. Patrz ryc. 4.



N. 6. Wszywka wywodzona na tiulu.



N. 9. Koszyczek do robót dający się płasko rozkładać. Patrz ryc. 10.



N. 10. Koszyczek do robót, dający się płasko rozkładać. Patrz ryc. 9.

N. 23—24. Ubranie strojne wizytowe. Krój na arkuszu N. I, Fig. 1—7-a.

Składa się ze spódnicy z trenem i stanika którego plecy przedłużają się w draperyę, przysłaniającą tylny bryt sukni; odrobione być może zarówno z czarnej jedwabnej grenadyny i faille jak z bareżu, kaszmiru, alpagi lub alepiny, te trzy ostatnie materyały powinny być w kolorze jasnym lub białym; na rycinie 23 przedstawiony przód sukni z gładkiej czarnej grenadyny, a rycina 24 przedstawia suknię z grenadyny czarnej jedwabnej w pasy. Koronka 8 cent. szeroka ułożona w kontrafałdy przyszyta pod sutaszem jedwabnym przerabianym srebrną nitką, 9 cent. szeroka frendzla i kokardy z wstążki 4 cent. szerokiej, zdobią stanik i draperyę na spódnicy. Dół sukni ryc. 23 oszywa z przodu falbana ułożona w kontrafałdy, tylne bryty zakończa plisowanie dane dwa razy; przy sukni ryc. 24 dana jest szeroka marszczona falbana z nagłówkiem dwa razy przestębnowanym, u dołu zaś zakończona

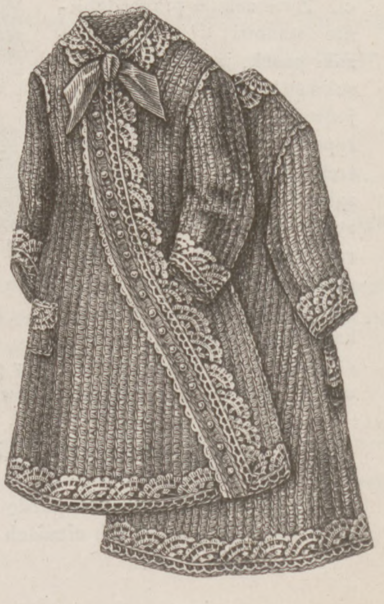


N. 11—12. Sukieneczka princesse z fałdowanemi plecami, przepięta paskiem.



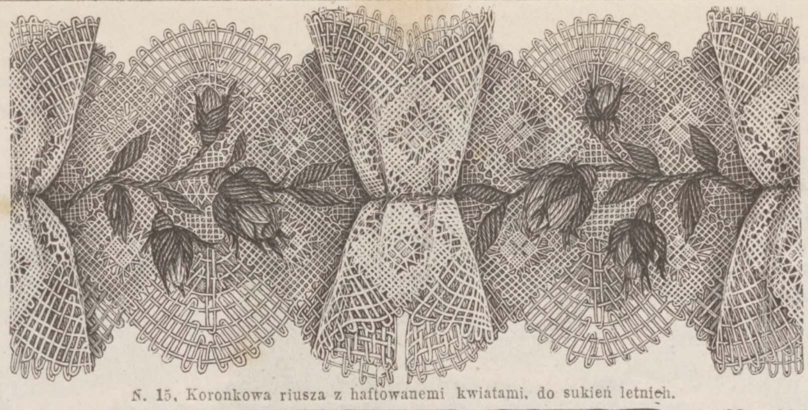
N. 8. Haft dziergany do parawanika ryc. 7.

części dodatkowej Fig. 3, składając I do I; część ta dodana jest z czarnego sztywnego tiulu, przyłożona na przodzie od E—F, dalej wzdłuż górnego brzegu od E—B wsunięta między materyał zwierzchni a podszewkę, a od B—G znów na wierzch przodu wyjęta i zszyta z przodem i bokiem. Brzegi oznaczone literami H, wązko obrąbione, schodzą się z sobą pod częścią dodatkową, a podszewka z pod zfałdowanej części przodów jest ścięta odpowiednio do brzegu podszewki części dodatkowej i podwrąbiona. Przy tylnym brzegu boczków część dodatkowa puszczona wolno a boczki od G—D łączą się z plecami. Układ zręcznej draperyi spuszczonej od pleców jest bardzo prosty; Fig. 4-a podaje obie części pleców wraz z oznaczeniem przyszycia garnirunku z brzegów. Szew środkowy od góry daje się na lewą stronę, niżej zaś na długości 110 cent. odwrócony jest na prawą. Z prawego boku przy szwie bocznym od C—D założona jest fałda, obejmująca 37 cent. wzdłuż, jak to punkt i krzyżyk wskazuje, od tej fałdy zaczyna się przybranie przeprowadzone



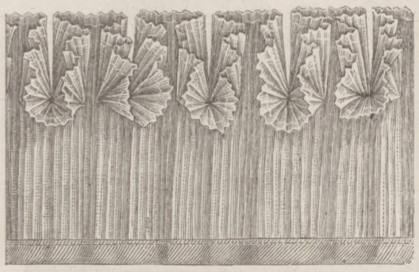
N. 13—14. Sukieneczka szydełkowa dla dziecka.

aż do szwu. Z lewego boku bryt draperyi przyczepia się wzdłuż sukni podpinając gdzie niegdzie w fałdę, następnie róg dolny odwinięty jest w górę i w miejscu oznaczonem gwiazdką przytwierdzony kokardą. Na Fig. 1 poprowadzona linia wskazuje naszycie najwyższego rzędu koronki; kołnierz (Fig. 6) jest cały zagarnirowany koronką; wzdłuż szwu środkowego na rękawach dana także koronka. Upięcie draperyi najlepiej dopasować na osobie, odpowiednio do wzrostu i figury.



N. 15. Koronkowa riusza z haftowanemi kwiatami, do sukien letnich.

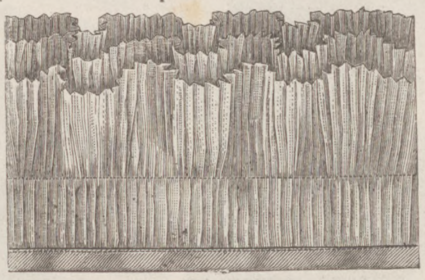
N. 27 i 29—32. Suknia muślinowa z bluzką i tuniką.



N. 16. Riusza z crêpe-lisse układana w kontrafałdy, do sukień letnich, czepeczków chusteczek i t. p.

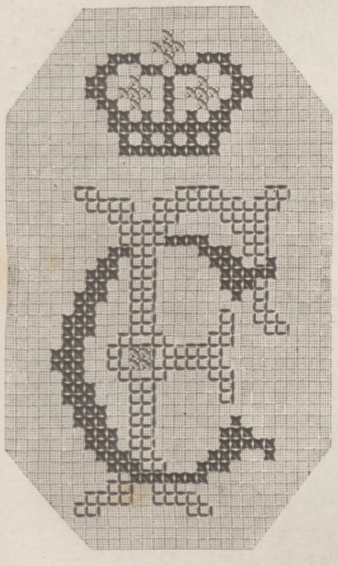


N. 29. Wyszycie sznureczkiem szydełkowym na poduszki, krzesła i t. p. Patrz ryc. 21—22.

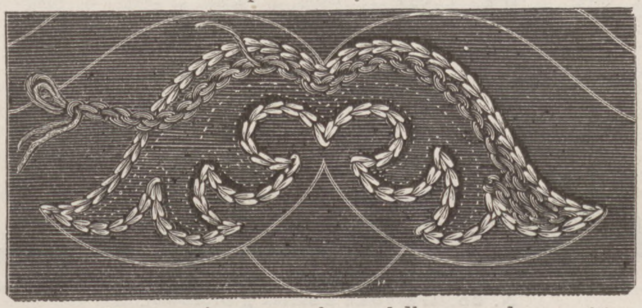


N. 17. Riusza plisowana muślinowa, do chusteczek czepeczków i t. p.

Środkiem tuniki z przodu dany jest bryt fałdowany z materyału skośnego, 95 cent. długi a 64 u dołu szeroki przyszyty po zfałdowaniu wzdłuż prostych brzegów tuniki. Przyozdobienie tuniki stanowi wszywka 5 cent. szeroka i także koronka lekko nadmarszczona, dana na około brzegów i trzy razy naszyta na bokach tunika, w odstępach 15 cent. Tylny bryt dwa razy u dołu oszyty koronką i wszywką nie jest wcale podpięty, tylko przewiązany kolorową szarfą. Bluzkę leżącą gładko jak stanik można odszyć podług ryc. 27; zapina się ona pod wachlarzowo nafałdowaną koronką wzdłuż przodu. Spódnica oszyta plisowaniem 9 i 7 cent. szerokiem, rozdzielonem koronką 12 cent. szeroką u góry zamiast nagłówka dana wszywka koronkowa. Pasek z kolorowej wstążki. Ryciny 29—32 załączają wzory koronki irlandzkiej i wywodzonej na tiulu, odpowiedniej do przybrania sukni.



N. 18. Monogram wyszyty krzyżykami.



N. 21. Naszywanie sznureczka szydełkowego, do ryc. 22

N. 28. Suknia z tuniką i paletotem. Krój tuniki na arkuszu N. XVII, Fig. 71.

Gustowne i praktyczne ubranie spacerowe stanowi suknia z płótna écru ozdobiona tylko wypustkami z ponsowego perkalu. Spódnicę otaczają dwie po 10 cent szerokie plisy z wypustkami; tunika podchodząca pod paletocik, upięta jest z prostego brytu 72 cent. szerokiego a 98 długiego, oszytego wypustką aż do gwiazdki, oznaczonej na Fig. 71, a u dołu przeszytego w dwie zakładki w odstępie 12 cent. Bryt ten zapina się na sukni na haftkę i pentelkę przyszytą w miejscu oznaczonem gwiazdką, rogi pozostają puszczone wolno tylko poniżej zapięcia zczepione są kilkoma ściegami. Paletocik przykroić można podług którejkolwiek formy podanej w tym roku; całe jego przybranie składa potrójny kołnierzyk, takież kieszonki i wykłady na rękawach.



N. 22. Czwarta część deseniu ryc. 20, do wyszycia sznureczkiem szydełkowym.

N. 33—34. Uczesanie dla młodej osoby i kołnierz koronkowy.

Wszystkie włosy podczesane są w górę i związane na wierzchu głowy; od twarzy można odwinąć je na lekkich krepinach. Po związaniu włosy rozdzielone są na trzy promienie i upięte w pukle wśród których wsunięty ozdobny grzebień.

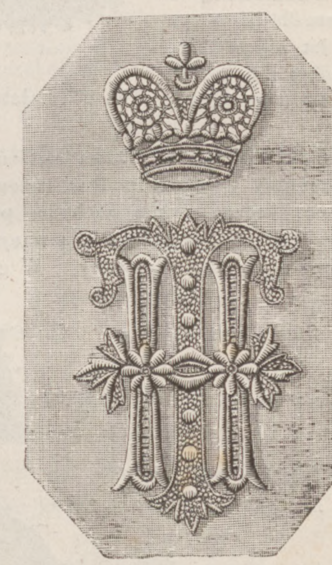
Szeroki modny koronkowy kołnierz można odrobić własno-ręcznie z tasiemeczek jakie zwykle używają się do roboty irlandzkiej koronki; deseń załącza Fig. 72 na arkuszu z krojami; odpowiedni mankiet koronkowy, do przypinania na wierzchu rękawa wskazuje ryc. 34.

N. 35—36. Kapelusze dla małych dziewczynek.

Plecione z florenckiej słomki, ozdobione są szeroką białą repsową wstążką. Ronda od spodu podgarnirowane riuszą z siepanej materyi lub z wstążeczki 2 cent szerokiej. Układ kokard wskazują ryciny; główka na ryc. 35 otoczona jest bufą marszczoną ze skosu białego repsu jedwabnego.

N. 37—38. Kołnierzyk chusteczkowy i mankiet. Krój na arkuszu N. II, Fig. 8—9.

Podstawę kraje się z gładkiego muślinu podług Fig. 8 i 9; brzegi oszyte są wszywką koronkową i haftowanym szlaczkiem z pod którego wysuwa się nadmarszczona koronka $3\frac{1}{2}$ cent. szeroka; z pod wstawki koronkowej muślin się wycina. Boczne części Fig. 8 od S—T zachodzą na część środkową którą tylko u dołu oszywa się koronką, wykrój szyi otacza koronka i plisowanie z crêpe-lisse. Mankiet dopasowany podług Fig. 10—11 ozdobiony wszywką i koronką, odpowiednio do kołnierza; kokardy z wstążki atłasowej.



N. 19. Monogram haftowany atłaskiem.

N. 39—42. Kołnierz formą kwadratowe szmizetki i mankiet. Krój na arkuszu N. III Fig. 12.

Jak to rycina 39 wskazuje tła kołnierza stanowią na przemian zszywane wszywki koronkowe i haftowane na batyście $1\frac{1}{2}$ i $2\frac{1}{2}$ cent. szerokie; brzegi otoczone haftowanemi i ząbkami przystębnowanemi wąziutką pliseczką, z pod ząbków wysuwa się koronka 6 cent szeroka i ryc. 41—42 wskazeją wzory niezmiernie łatwych wszywek wywodzonych na tiulu.



N. 23. Grzebyk do przybrania głowy.

N. 43—44. Tła robione na drutach, do chustek szalików i t. p.

N. 45. Serweta ze szlakiem wyszytym krzyżykami i ozdobiony kwadratami wyszytemi ściegiem krzyżykowym bawełną ponsową i szafirową; kwadraty rozdzielane są kratką gipiurową zajmującą w szerz 24 nitek kanwy, każdy z nich liczy 71 nitek. Wielkość serwety wynosi w kwadrat 132 cent.; brzegi otacza frendzla 12 cent. szeroka. Wskazanie roboty kratek i kwadratów podaliśmy na ryc. 24—26 w N-rze 27.



N. 25. Paletot z repsu jedwabnego.

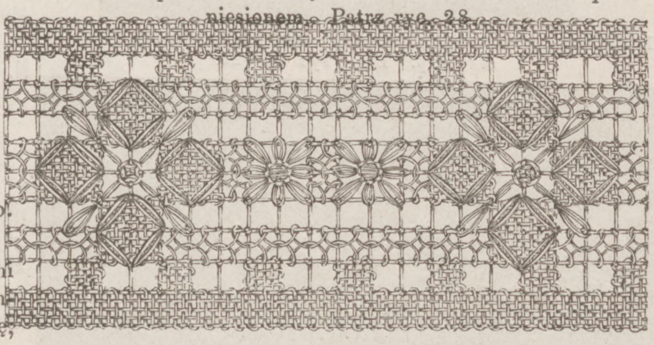
Opis do N. 29.

N. 1. Sukienka princesse dla dziewczynki lat 8—10. Krój podług ryc. 1 w N. 22 Tygodnika.

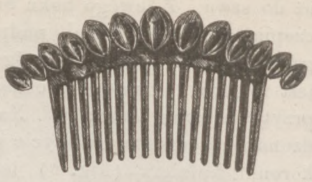
Jasno-popielata beżowa sukienka, ma bryt przedni przybrany u dołu w podłuż przemarszczonym garnirunkiem, któren u dołu zachodzi pod plisowaną falbanę, w górze zakończony jest plisowanym nagłówkiem, a z boków wszyty pomiędzy szwy. W górze na przodach paletocik odznaczony jest plisowaniem i kilku rzędami stębnówki. Mankiety i kieszonka są ostębnowane i objęte pliską.



N. 27. Kapelusz z czarnej słomki z rondem z boku podniesionem. Patrz ryc. 28.



N. 26. Wszywka z siatki gipiurowej.

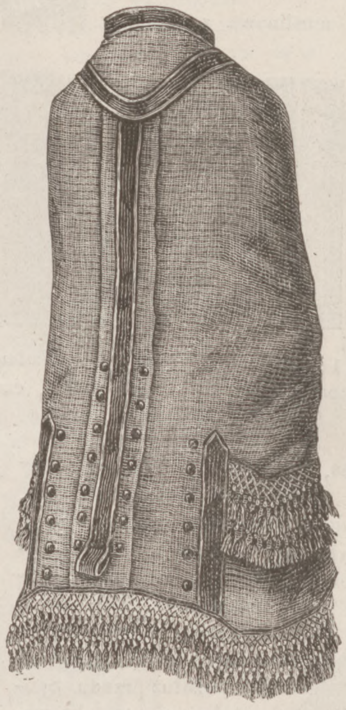


N. 24. Grzebyk do przybrania głowy.

N. 2—3. Ubranie letnie z vêtement formą princesse. Krój podług ryc. 11—12 w N. 19 Tygodnika.

Suknia z gładkiego francuzkiego perkalu, w kolorze oliwkowym, pomiędzy przody vêtement ma dodany plastron, cały ułożony w podłużne zakładki, które w górze są stębnowane ciemniejszym jedwabiem od dołu tylko zaprasowane. Na ryc. 2 plisowanie falbany przedzielane jest w równych odstępach kontrafałdą a vêtement oszyte u dołu falbaną wyszytą jedwabiem kolorowym; takiż haft odrobiony na półokrągłym, dopasowanym podług formy kawałku, zdobi z przodu wykrój pod szyją. Na ryc. 3 plisowanie przy spódnicy i vêtement zdobi 2—4 rzędów stębnówki, a na boczkach i przodzie odznaczony garnirunkiem zręczny kaftanik. Zapięcie urządza się z boku przy plastronie, z drugiej strony naszyte są także guziczki.

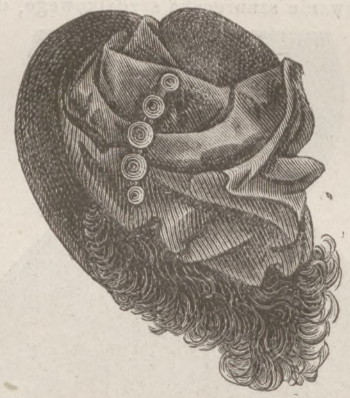
(D. n.).



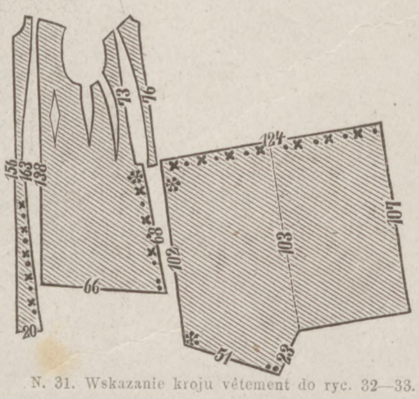
N. 30. Okrycie odpowiednie do ryc. 32.



N. 32. Ubranie spacerowe z płaszczykiem. Patrz ryc. 30—31 i ryc. 33.



N. 28. Kapelusz z rondkiem z boku podniesionem. Patrz ryc. 27.



N. 31. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 32—33.



N. 29. Szlaczek do chustek kołnierzyków i t. p.



N. 33. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 30—32.